NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 988·— Marek, Półrocznie 1976·— Mk. Rocznie 3952·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 20 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 30·—, za wiersz petit. w części redakcyjn. 50 Mp. — Zamiejscowe o 50%, zagraniczne o 100% drożej.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XX. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny). Telefon Nr. 672.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz.**

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódź, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 80 Marek.

Rok XIX. Kraków, 18 marca 1922. Nr. 11.

W walce z wilkiem



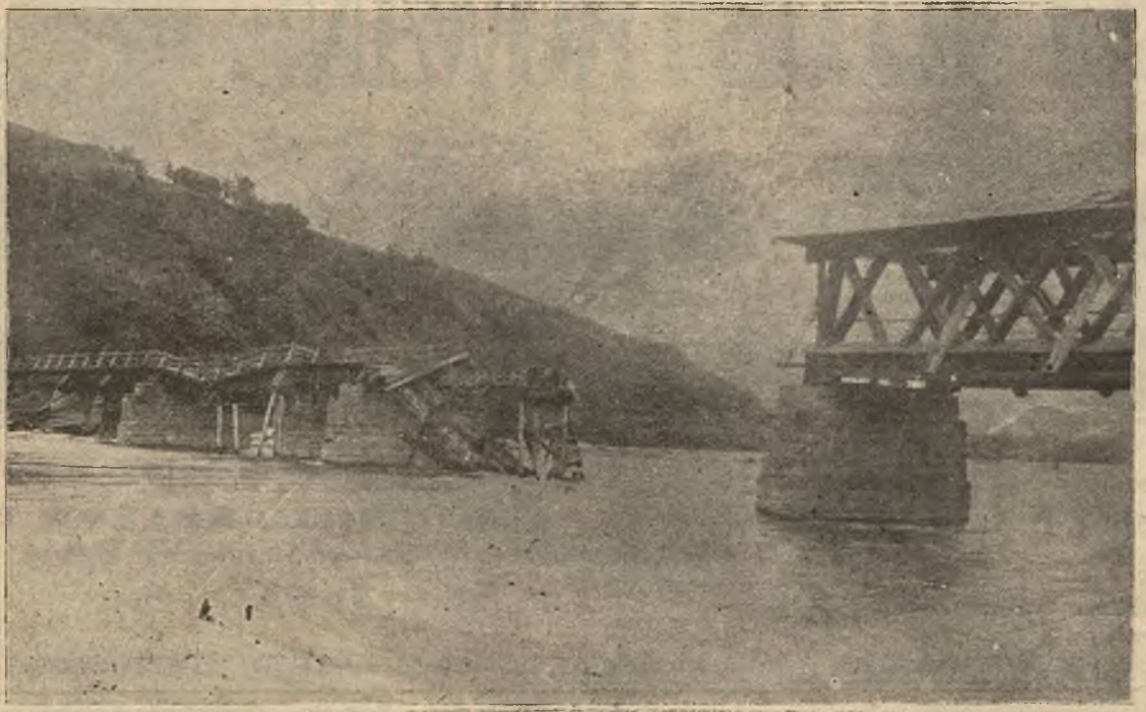
Dziewiętnastoletni parobczak z okolic Tarnowa, Jan Bogacz, napadnięty w lesie przez zgłodniałego wilka, cudem prawie ratuje się od śmierci.

W walce z wilkiem.

(Do illustracyi tytułowej).

Skutki tegorocznej ostrej zimy dały się odczuć ludności wiejskiej niektórych okolic naszego kraju także i w ten sposób, że zapędziły gromady zgłodniałych wilków, jeszcze u nas nie wytępionych, w pobliże ludzkich sadyb w poszukiwaniu za żerem. Szczególniej okolice, obfitujące w lasy, narażone były z tego powodu na wielkie niebezpieczeństwo, głodny wilk rzuca się bowiem niejednokrotnie i na człowieka, nie mogąc w inny sposób znaleźć sobie pożywienia. Corocznie ginie w ten sposób u nas pewna ilość ludzi i to nie tylko w okolicach lesistych, ale także i tam, gdzie ruch jest ożywiony, gdyż zuchwalstwo głodnej bestyi granic nie zna. Dawniejsze opowiadania o napadach wilków, które wydawały się nam nieraz fantastycznemi bajkami, przybierają się obecnie w szatę rzeczywistości.

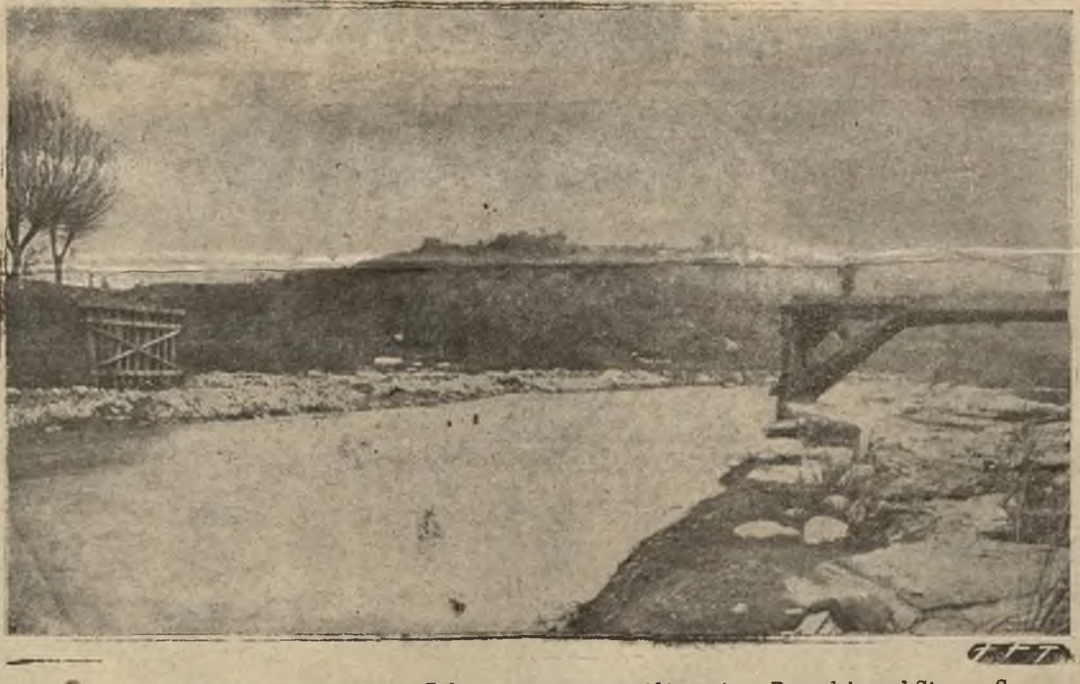
Nie w odległem jakiemś pustkowiu, lecz w środkowej Małpolsce, w okolicy Tarnowa, zaszedł niedawno wypadek, świadczący, na jakie niebezpieczeństwo narażony jest człowiek nawet w miejscowości, gdzie się zwykle o wilkach wcale nie słyszy, podczas silnej i śnieżystej zimy. Poszukiwanie za żerem zapędza wilki także i w te strony, a biada człowiekowi, idącemu samotnie i nieuzbrojonemu, jeśli na nie natrafi. Za cudowne też powinien uważać swe ocalenie dziewiętnastoletni Jan Bogacz, mieszkaniec wsi Pawęzowa, który, udając się do sąsiedniej wioski, przechodzić musiał przez niewielki las sosnowy, rozgraniczający te miejscowości. W głębi lasu natrafił na wilka, który w przydrożnej gęstwinie czatował na swą zdobycz. Widocznie głód dał mu się dobrze we znaki, skoro nie zawahał się rzucić na człowieka, wobec którego, będąc sam, a nie w gromadzie, czuć powinien pewną obawę, zwłaszcza, że był to biały dzień, a nie pora nocna. Bogacz, zoryentowawszy się w sytuacyi i przeczuwszy niebezpieczeństwo, mogące mu grozić, wcześnie też przygotował się do jego odparcia. Odwagi mu nie brakło, zaglądał już bowiem nieraz w oczy niebezpieczeństwu, ale jedyną bronią jego był dość gruby kij, którego używał zamiast laski. W chwili, gdy wilk gotował się do skoku na swą ofiarę, Bogacz uchwycił silnie patyk i ugodził nim nacierającego wroga między uszy, czem go wprawdzie nie ubezwładnił, lecz w każdym razie chwilowo odstraszył. Wilk kilkakrotnie próbował zaatakować swą ofiarę, spotykał się jednak zawsze z celnie wymierzonymi w głowę razami, w następstwie których ogłuszony legł na ziemi, gdzie go Bogacz dobił owym patykiem, któremu obok przytomności umysłu zawdzięczał ocalenie swego życia, wyszedł bowiem z tej ciężkiej opresyi jedynie z rozdartą kurtką i podrapaną nieco ręką.



Fatalne skutki wiosennych roztopów: Szczątki mostu pod Tęgobożą w pow. nowosądeckim, zniszczonego przez powódź i kry lodowe. Fot. Bracia Dworzak, Nowy Sącz.

Fatalne skutki wiosennych roztopów.

Tegoroczne wczesne i raptowne nastanie wiosny po silnej i śnieżystej zimie, miało dla niektórych okolic naszego kraju następstwa fatalne. Nagłe ocieplenie się atmosfery spowodowało gwałtowne tajanie śniegów i pękanie lodów na rzekach, których wąskie koryta nie mogły pomieścić całej masy napływających ze wszystkich stron wód, co wywołało w wielu okolicach, przedewszystkiem zaś na całym obszarze Małopolski katastrofalne powodzie, które wyrządziły milionowe szkody. Zwłaszcza górskie okolice ucierpiały bardzo nie tylko skutkiem powodzi, lecz przedewszystkiem przez utworzenie się licznych zatorów lodowych, któremu sprzyjał kręty bieg koryt rzecznych i niedostateczna ich regulacya. W poprzednim numerze naszego pisma wspominaliśmy ogólnie o katastrofie powodzi, jaka kraj nasz nawiedziła, podnosząc z uznaniem akcyę ratunkową, podjętą przez nasze władze przy pomocy saperów, których ofiarnej i wytężającej pracy, często bardzo ponad ludzkie siły, udało się szczęśliwie usunąć niebezpieczeństwo. Ofiarą mas wodnych i niesionych przez nie zwałów lodowych padł w różnych okolicach kraju naszego, przedewszystkiem zaś w okolicach podgórskich i górskich cały szereg mostów, których zerwanie utrudniło na jakiś czas znacznie komunikacyę, a ich naprawa pociągnie za sobą wydatki, idące w miliony.



Fatalne skutki wiosennych roztopów: Zniszczony przez powódź most na Popradzie pod Starym Sączem. Fot. Bracia Dworzak, Nowy Sącz.

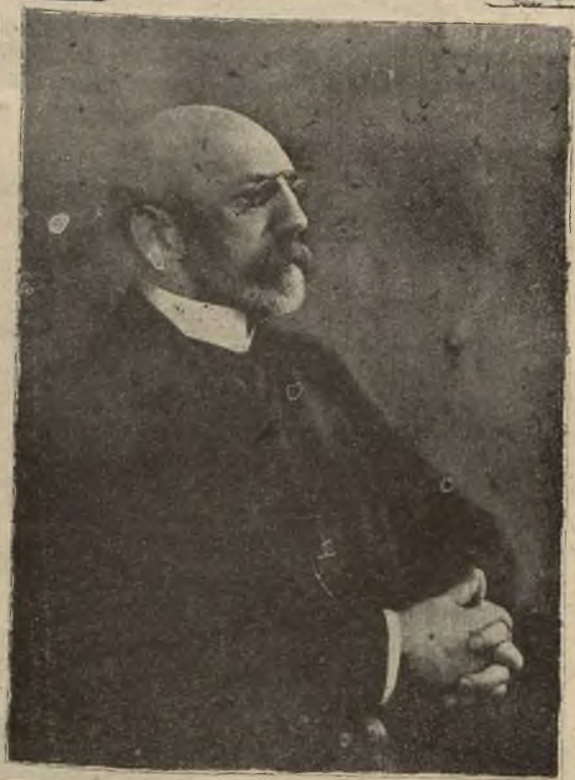
Korespondent nasz z Nowego Sącza nadesłał nam kilka widoków, przedstawiających zniszczone w tamtejszych powiatach mosty, z nich Czytelnik wyrobić sobie może wyobrażenie o grozie położenia i panicznym strachu, pod jakim pozostawali przez kilka dni mieszkańcy nadbrzeżnych wiosek, zmuszeni często kroć uchodzić tylko z życiem, a dobytek cały zostawić na pastwę rozszalałego żywiołu.

Rok rocznie w niektórych częściach Małopolski powtarza się w tym czasie to samo, z mniejszem tylko lub większem nasileniem, zależnie od tego, jaką była zima i czy tajanie śniegów i lodów odbywało się powolnie, czy też w przyśpieszonem tempie. Jest to zle, któremu nie zaradzi nawet i regulacya koryt rzecznych, przeprowadzana u nas wprawdzie dość energicznie, lecz nie w takiej mierze, aby mogła grożące niebezpieczeństwo raz na zawsze usunąć. Górzysty i skalisty teren, wśród którego rzeka żłobi swe koryto, przyczynia się w znacznej mierze do powiększenia złego, ułatwia bowiem tworzenie się zatorów. Wystarczy mała jakaś przeszkoda, znajdująca się w korycie rzeki, aby powstrzymać płynące kry lodowe, które w przeciągu kilku zaledwie godzin tworzą zator, dochodzący niemal u samej przeszkody kilkupiętrowej wysokości, a ciągnący się na przestrzeni kilku kilometrów. Przeszkodę taką tworzą w wielkiej części przęsła mostów, które też stają się najczęściej ich ofiarą.



Fatalne skutki wiosennych roztopów: Resztki, pozostałe z żelaznego mostu pod Gołkowicami za Starym Sączem. Fot. Bracia Dworzak, Nowy Sącz.

W samem województwie krakowskiem liczba zerwanych mostów dochodzi kilkudziesięciu, szkody zaś ogólne, spowodowane powodzią, obliczają w przybliżeniu na kilkaset milionów marek.



Krakowianie, odznaczeni francuską Legią Honorową: Prezes Polskiej Akademii Umiejętności dr. Kazimierz Morawski, mianowany komandorem Legii Honorowej.

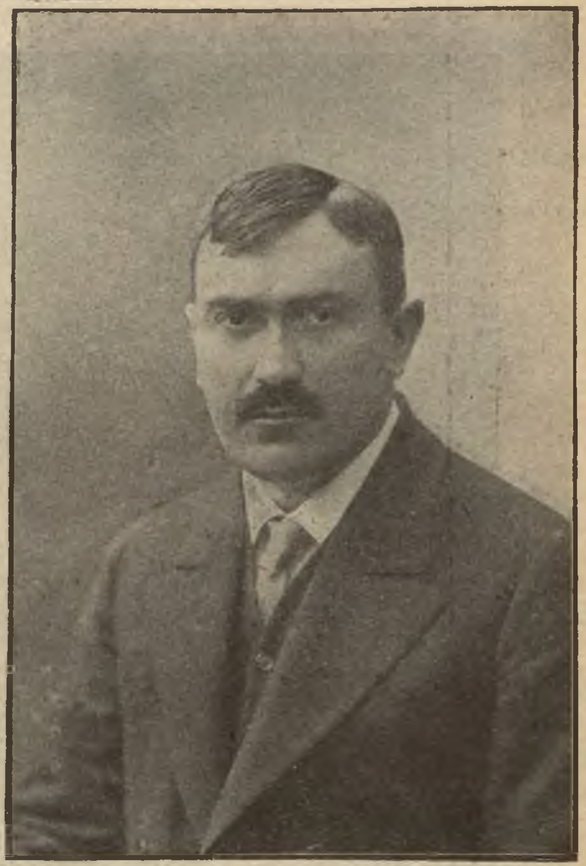
Krakowianie odznaczeni francuską Legią Honorową.

W związku z trzechsetną rocznicą urodzin Moliera pozostaje odznaczenie licznych osobistości ze świata naukowego i literackiego. Między innymi zamianował rząd francuski prezesa krakowskiej Akademii Umiejętności, profesora dr. Kazimierza Morawskiego, komandorem orderu Legii Honorowej, dra Tadeusza Żeleńskiego zaś kawalerem tegoż orderu.

To odznaczenie dwu Krakowian wywarło w mieście naszem bardzo przyjemne wrażenie, stwierdza bowiem sympatyę, łączącą oba narody, związane ze sobą od wieków silnymi węzłami, zacieśnionymi jeszcze bardziej w czasie i po wojnie światowej. Francya, uważana słusznie za centrum europejskiej kultury złożyła w ten sposób dowód, że interesuje się jej rozwojem u nas, co jest tembardziej usprawiedliwione, że kultura nasza wzorowała się na francuskiej i ma jej wiele do zawdzięczenia.

Profesor Kazimierz Morawski, obecny prezes Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie, zdobył sobie światową sławę, jako znakomity znawca filologii klasycznej i uważany jest za pierwszorzędną powagę naukową w tym kierunku, a prace jego zyskały sobie zasłużone uznanie daleko poza granicami kraju. Człowiek o wysokiej kulturze, gorliwy i sumienny badacz i wytrawny pedagog, nie zasklepił się w czterech ścianach swej naukowej pracowni, znajdując zawsze dość czasu na oddanie się życiu społecznemu, w którem brał zawsze żywy udział, ceniony nawet i przez przeciwników politycznych, jako człowiek czystego jak łza charakteru, kierujący się tylko interesem ogółu, a nie własnym lub partyjnym. W świecie naukowym polskim zajmuje profesor Morawski jedno z pierwszorzędnych miejsc, w mieście naszem należy do najpopularniejszych i wysoko cenionych osobistości. Jako prezes krakowskiego Towarzystwa Przyjaciół Francyi, dokłada profesor Morawski starań, aby jeszcze silniej, niż poprzednio, zadzierzgnąć nici sympatyi, łączącej ze sobą oba tak bliskie sobie duchem narody.

Drugi z odznaczonych, dr. Tadeusz Zeleński, położył niemałe zasługi dla rozwoju naszej kultury, przyswajając nam najcelniejsze utwory literatury francuskiej, tak klasycznej jak i współczesnej, między nimi komplet utworów Molierowskich w prawdziwie wytwornem tłómaczeniu. Znany w literaturze francuskiej i polskiej pod swym pseudonimem „Boy", za swą dotychczasową działalność spotykał się też niejednokrotnie z zasłużonem uznaniem, obecne zamianowanie go kawalerem orderu Legii Honorowej jest już trzeciem z rzędu odznaczeniem, jakie go spotkało ze strony rządu francuskiego, który swojego czasu nadał mu palmy akademickie, a niedawno, bezpośrednio po uroczystościach jubileuszowych Moliera, zamianował go *Officier d'instruction publique.*



Krakowianie odznaczeni francuską Legią Honorową: Dr Tadeusz Żeleński (Boy), tłómacz arcydzieł literatury francuskiej na język polski, mianowany kawalerem Legii Honorowej.

Opieka nad obrońcami Ojczyzny.

Obrońcy Ojczyzny, jak długo pozostają w szeregach armii, tworzą jak gdyby jedną wspólną rodzinę, z chwilą jednak, gdy opuszczą jej szeregi, związki te rozluźniają się, słuszną zatem i sprawie-



Opieka nad obrońcami Ojczyzny. Uczestnicy poświęcenia lokalu Stowarzyszenia Oficerów, emerytów, weteranów i rezerwowych. W pośrodku jenerał Jacyna, delegat Naczelnika Państwa.

Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa.

dliwą jest rzeczą, aby ogół, w którego obronie narażali swe życie i zdrowie, zajął się ich losem, wyrażając w ten sposób wdzięczność za ich poświęcenie. W tym kierunku czyni się u nas bardzo wiele



Zaślubiny na angielskim dworze królewskim: Para królewska i nowożeńcy.

tak dla oficerów wysłużonych, jak i dla żołnierzy, a jedną z tego rodzaju instytucyi, mającą stać się środowiskiem, skupiającem oficerów wysłużonych i emerytów, jest świeżo powołane do życia w Warszawie ich zrzeszenie o charakterze humanitarnym i towarzyskim. Poświęcenie lokalu i uroczysta inauguracya w obecności jenerała Jacyny, jako delegata Naczelnego Wodza, a przy udziale bardzo licznego grona byłych oficerów, a między nimi weteranów z r. 1863, odbyło się w ostatnich czasach w Warszawie.

Ci, którzy taką sławą okryli sztandary polskie, swem męstwem i poświęceniem budząc podziw u swoich i obcych, zasługują w pełnej mierze na to, aby społeczeństwo o nich pamiętało i starało się im przyjść z pomocą po opuszczeniu szeregów. Sama opieka rządowa nie wystarczy, ręka w rękę powinno iść z nią współdziałanie całego społeczeństwa, które byłym oficerom i żołnierzom obowiązane jest dawać pierwszeństwo wśród równie ukwalifikowanych przy obsadzaniu posad w swych instytucyach, przedsiębiorstwach itd., naśladując w ten sposób byłe rządy zaborcze, gdzie wysłużony żołnierz miał szczególniejsze przywileje, starczące mu nawet nieraz za potrzebną kwalifikacyę.

Zaślubiny na angielskim dworze królewskim.

Jedyna córka króla Jerzego angielskiego i królowej Maryi, ciesząca się nadzwyczajną popularnością w całym kraju, *princess Mary*, poślubiła w dniu 28 lutego b. r., arystokratę angielskiego, wicehrabiego Harry Lascelles. Sympatya ogólna, z jaką społeczeństwo angielskie odnosi się do osoby księżniczki, oraz radość, że męża znalazła w kraju, a nie poza jego granicami, były powodem, że dzień zaślubin młodej pary stał się dla Anglii niemal świętem narodowem, a setki tysięcy ludności ze wszystkich sfer urządziły nowożeńcom owacyjną manifestacyą z takim entuzyazmem, o jaki nikt nie posądziłby nawet flegmatycznych synów Albionu.

Chociaż ceremonia zaślubin w przepięknem, o charakterze średniowiecznem, opactwie westminsters kiem oznaczona została na godzinę 11 $^1/_2$ przed poł., już od świtu niemal niezliczone tłumy wylegly na ulice, któremi pochód miał skierować się z pałacu Buckingham do Westminsteru, przy zachowaniu całego przepychu i ceremoniału. Opactwo westminsterskie, udekorowane wewnątrz z pompą, odpowiednią okazyi, przedstawiało widok istotnie imponujący. Już od godziny $10^1/_2$ wszystkie stalle oraz specyalnie zbudowane trybuny zapełnili goście zaproszeni, których liczba dosięgała dwu tysięcy. Setki parów Anglii, lordów wraz z ich małżonkami w strojach dworskich, ciało dyplomatyczne, lśniące złotemi wyszywaniami mundurów galowych oraz



Zaślubiny na angielskim dworze królewskim: Lloyd George przybywa do opactwa westminsterskiego.

cała śmietanka towarzyska, przedstawiali widok niezwykły. Wkrótce po godz. 11-tej przybyła królowa Aleksandra, wdowa po królu Edwardzie VII, zaraz potem królowa Mary wraz z książętami Jerzym i Henrykiem oraz księciem Jorku, aż wreszcie na parę minut przed $11^1/_2$, wśród uroczystej ciszy, wkroczył do głównej nawy opactwa król Jerzy wraz z księżniczką Mary. Za chwilę wicehrabia Lascelles i księżniczka Mary uklękli na stopniach ołtarza, pokrytego przepysznie kobiercami i arcybiskupi kanterburski i Jorku, jako prymasi Anglii, rozpoczęli obrzęd zaślubin.

Z uderzeniem dwunastej rozbrzmiał radosnemi dźwiękami marsz weselny: uroczystość była skoń-



Zaślubiny na angielskim dworze królewskim: Tłumy na Placu Trafalgarskim oczekujące na przejazd nowożeńców.

RENE BURES.

Zil=X...

17) Tłómaczyła z francuskiego MARYA SEGENY.

— Niech i tak będzie Vallorbe, weźmiesz pana na ręce i podasz mi go, kiedy będę na murze.

Rzeczywiście, nie było można powolić, aby ten starzec o własnym wysiłku przedostał się do ogrodu. Z uczuciem prawdziwej litości ująłem go w pół ciała i podałem Daltonowi, który już jak na koniu siedział na murze. Odebrał on doktora z moich rąk i podał numerowi 42, który go ostrożnie postawił na ziemi.

Zawahałem się teraz, nie wiedząc jak sobie poradzić z przejściem.

Wszyscy już byli po tamtej stronie. Zacząłem więc sunąć rękami po murze, w nadziei natrafienia na jaką dziurę, czy też wypukłość, na której mógłbym oprzeć nogi i ku mojej radości natrafiłem nie na to co szukałem, tylko na zwieszające się z muru nogi Daltona. Wdrapałem się więc po nich jak po sznurze na górę.

Po chwili byliśmy już wszyscy czworo razem w ogrodzie.

— Niema psa? — zapytał Dalton szeptem.

— Niema — odpowiedział numer 42.

— Oh! to nie dobrze, to nie dobrze — westchnął mój przyjaciel.

— Czego się obawiasz?

— Zasadzki. Nie lubię wypraw tak łatwych i mało niebezpiecznych. Bądźcie na wszystko gotowi. Rewolwery w ręce!

Wyjęliśmy browningi z kieszeni. Stary Dambleuse nieruchomy, sztywny, z twarzą bladą, w której drgał nerw każdy usłuchał machinalnie.

— Nie strzelajcie jednak bez mojego rozkazu — dodał jeszcze Dalton. — Nie będziemy zabijać tylko bronić w ostateczności własnego życia. Zrozumiane.

— Zrozumiane! — odpowiedziałem wraz z numerem 42. — Teraz w drogę!

Szliśmy w prostej linii w kierunku domu, poprzez aleje i trawniki, Dalton pierwszy, my tuż za nim. Ciemność zdawała się być już mniej nieprzerzaną. Wiatr rozwiewał mgłę i chmury i po każdym silniejszym podmuchu, przy blasku gwiazd ukazujących się, mogliśmy widzieć własne sylwetki.

Stanęliśmy nareszcie przed domem. Wszędzie cisza, ani szczekania psa, ani szelestu najmniejszego. Ten mały, milczący dom zdawał się być niezamieszkałym. W oknach wszystkich okienice były szczelnie zamknięte.

— Dalton jak cień przesuwał się wzdłuż ścian. Widziałem jak oglądał okucia okienic i zamki od drzwi. Poczem obszedł dom z lewej strony. Posunęliśmy się za nim.

I tutaj z boku i na tyle domu okienice były zamknięte. Z wnętrza zaś nie dochodził blask żaden.

— Ten dom jest opuszczony! — przerwał milczenie stary Dambleuse.

— To niemożliwe!

— Tak, to niemożliwe! — potwierdził numer 42. Musi tu być chociaż ogrodnik lub stróż.

— Tak — numer 42 ma słuszność — wyrzekł Dalton. — Musi tu być ogrodnik.

— Kto to wiedzieć może — mruknął niechętnie stary Dambleuse.

— Sprubójmy otworzyć jedną okienicę na tyle domu.

— Nie — rzekł Dalton stanowczo. — Być może, że ogrodnik śpi poprostu. Nie trzeba się lękać niebezpieczeństw zanim się zdobędzie przekonanie, że ono istnieje wogóle.

— Ale pies?

— Oto właśnie! Wcale nie mogę pojąć nieobecności psa. Ale w końcu, jeżeli ten ogrodnik lub stróż śpi spokojnie bez żadnych podejrzeń, nie należy go budzić i wywoływać nieprzyjemną sytuacyę. Możemy załatwić wszystko bez hałasu. W dzień dokonania zbrodni ogrodnik ten, także nic nie słyszał.

— Ale w dzień zbrodni — zauważyłem — wszystkie okna parterowe były otworzone.

— Tak jest. Dla tej właśnie przyczyny, wejdziemy dzisiaj oknem pierwszego piętra. Jak raz już tam się znajdziemy, o ile nie zbudzimy tego człowieka, możemy działać swobodnie.

— Ale jak tam wejdziemy? Czy masz sposób jaki? — zapytałem.

— Niemam go jeszcze.

— Ani ja również — przyznał numer 42.

— A jednak... — wyrzekł z pewnem wahaniem stary Dambleuse.

— Pan znalazł sposób? — zawołał Dalton ucieszony.

— Sposób, może nie — ale rozumowaniem dojdziemy do niego.

— Niech pan mówi prędko, czekamy.

— Musi tu być gdzieś drabina.

— Z czego to pan wnosi?

— Niech pan spojrzy na ścianę.

Podnieśliśmy wszyscy głowy do góry. Po chwili wpatrywania się rozróżniliśmy dwie części ściany, dwa odcienia różne na tylnej ścianie domu, tak, jakgdyby ta ściana zrobiona była z dwóch różnych materyałów budowy.

— Rozumiem już — szepnął Dalton. — Odnawiano niedawno ten dom i przerwano nagle roboty.

— Tak jest — przyświadczył numer 42. Pan Dambleuse ma słuszność! — Drabina musi tu być niedaleko.

— Ale gdzie? u dyabła!

— Zapewne tam, pod szopą, gdzie stały wózki kapitana.

— Idź z nim — zwrócił się do mnie Dalton, ale spieszcie się! Czekamy na was tutaj.

W kilka minut później wracaliśmy z drabiną. Przewidywania starego Dambleuse i numeru 42 były trafne. Wszystkie przybory malarskie wraz z drabiną znajdowały się pod szopą.

Drabina, którą przynieśliśmy doskonale odpowiadała swojemu celowi. Była długa na siedm metrów może, tak, że kiedy przystawiliśmy ją do muru koniec jej dosięgał poprzecznej listwy okna na pierwszem piętrze.

— Doskonale! doskonale! — cieszył się Dalton zacierając ręce. — Dalej! numer 42!

Ajent w drapał się lekko i zręcznie.

— Czy jednak potrafi otworzyć okiennice nie czyniąc hałasu — zauważyłem.

— Nie obawiaj się — pocieszył mnie Dalton. — To specyalista od podobnych rzeczy. A zresztą przypuszczam, że z tą okiennicą robota pójdzie dosyć lekko.

Rzeczywiście, rzecz była łatwą do załatwienia.

Po chwili pod wprawną ręką ajenta okiennica rozwarła się z lekkim zdrzytem. Na szczęście okno było niezamknięte.

— Do roboty — szepnął Dalton wdrapując się po drabinie.

Poszedłem za nim, ofiarowując swoją pomoc staremu Dambleuse. Ale odrzucił ją niecierpliwie.

— Niech pan myśli o sobie. Jeszcze nie jestem takim niedołęgą, abym nie umiał chodzić po drabinie.

Kiedy wszedłem do pokoju, Daltona i numeru 42 już tam nie było. Machinalnym ruchem odwróciłem ujrzałem głowę starego Dambleuse wyłaniającą się za mną z ciemności.

Wahałem się z podaniem mu ręki, obawiając się ponownej odmowy.

Przekroczył okno dosyć ciężko i chwilę nawet widziałem jego wychudłą sylwetkę chwiejącą w otworze okna! Krew zastygła mi w żyłach! Dambleuse stracił równowagę! Z okrzykiem grozy, nad którym zapanować nie mogłem skoczyłem do okna. Ale już Dambleuse jakimś nadludzkim wysiłkiem uczepił się ramy i zanim zapobiedz temu mogłem zsunął się do popokoju, upadając ciężko na kolana. Podłoga aż wstrząsnęła się cała od tego uderzenia roznosząc echo po wszystkich pokojach pustego domku.

Na domiar nieszczęścia Dambleuse upadając odsunął nogą drabinę, która ze zgrzytem strasznym ześlizgnąwszy się po kamieniach, runęła z łoskotem na ziemię. Zdawało się w tej niezmąconej niczem ciszy nocy, iż granat uderzył w osamotniony pawilon i rozniósł go w strzępy.

— Przekleństwo! — syknął głos Daltona w cieniu.

— To tylko nieprzyjemna przygoda — odpowiedział spokojnie Dambleuse. — Niech pan nie przeklina niepotrzebnie.

Wysiłkiem woli Dalton zapanował nad sobą.

— Za minutę ludzie zamieszkali w tym domu puszczą się w pościg za nami.

— Znajdujemy się teraz w potrzasku — dodał numer 42. — Jedyna droga ucieczki przecięta

Zdenerwowani, podnieceni, czekaliśmy przyczajeni w cieniu. Wokoło nas nieznośna, niepokojąca cisza... słyszeliśmy tylko bicie własnych serc.

— Możnaby wyskoczyć oknem — wyszeptałem do ucha Daltona. — Sześć metrów tylko dzieli nas od ziemi.

— A stary? — odparł Dalton — zabiłby się napewno. Nie możemy go tu przecież zostawić.

— Jeden z nas może skoczyć i przystawić drabinę.

— To niemożliwe. Noc ciemna i teren nierówny. Łatwo skręcić nogę, a wtedy ucieczka już dla wszystkich niemożliwa.

— A więc?

— Czekajmy. Nie możemy się rozdzielać. Musimy być gotowi na wszystko.

— Dobrze — odpowiedziałem. Ty wiesz najlepiej co robić.

— Zapal światło!

— Światło! — zdumiałem się.

— Tak. Wszystko już jedno! Niemamy nic do stracenia. Jeżeli mamy zostać schwyceni, wolę już widzieć z kim i czem mam do czynienia. Zresztą jak dotąd nikt się nie porusza w domu.

Numer 42 potarł zapałkę. Przy świetle małej świecy, którą zapalił mogliśmy nareszcie obejrzeć pokój, w którym znajdowaliśmy się.

— Ho! ho! — zauważył Dalton. — Nie widzę tu wcale mebli.

Rzeczywiście pokój był pusty. Ze ścian zwieszały się kawałki zgniłej tapety w kwiaty.

— To jest jeden z czterech pokoi pierwszego piętra. Kapitan de Limandoux najwidoczniej nie zajmował całego swojego mieszkania. Tem lepiej.. Będziemy mieć mniej do oglądania.

— Dwa tylko pokoje są umeblowane; pokój sypialny i salon.

— Tak, oczywiście. To było tylko chwilowe mieszkanie kapitana. Chciałbym przedewszystkiem przetrząsnąć pokój sypialny. — Czy nic się tam nie rusza?

Numer 42 podszedł do drzwi z rewolwerem w ręce i przyłożył ucho do dziurki od zamku.

— Nic...

— Otwórz więc — rzekł Dalton, stając także z nabitą bronią przy drzwiach.

Nagłym ruchem ajent pchnął drzwi.

Blask świecy rzucił niepewne, drżące światło na długi, ciemny korytarz.

Nadsłuchiwaliśmy z zapartym oddechem.

Nic...

Nagle w ciemności rozległ się szelest... schody czy podłoga trzeszczały gdzieś miarowo.

— Baczność — szepnął Dalton.

— Można było dostrzec w głębi korytarza, poręcz schodów prowadzących na dół.

Staliśmy chwilę z wyciągniętą szyją, drżąc na nogach, gotowi do skoku.

Ale nikt się nie ukazywał.

Tam, na dole szelest nagle zginął.

Dalton zgasił świecę i ruszyliśmy naprzód.

Cisza głęboka otaczała nas niezmiernie. Nagle, doszedł mnie lekki szept, tak, jakgdyby tam na dole ludzie rozmawiali po cichu. A potem upadek czegoś ciężkiego na ziemię... może ciała... i znowu deski trzeszczeć zaczęły...

— A więc — szepnąłem do Daltona — kiedy po paru sekundach trzeszczenie to raz jeszcze ustało. — Co robimy? Na co się decydujesz?

— Waham się.

— Czas mija...

— Tak. Wiedzą, że jesteśmy tutaj, to jasne.

— Może tamci także wahają się z zaatakowaniem nas — podsunąłem.

— Najmądrzej byłoby zaatakować nam samym, nie czekając na nic. Co myślisz o tem?

— Nie, nie — odparł Dalton po chwili wahania.— Niema tu nic do wygrania. Kiedy się działa powinno się zawsze w razie niepewności iść prosto do celu. Naszym celem jest przeszukanie tego domu — czy tak?

— Oczywiście.

— A więc bierzmy się do roboty. Jeżeli oni nas zaatakują pierwsi temlepiej dla nas, możemy się lepiej bronić. A przy tem lepiej dla nas przystąpić do walki, po odbytem już przeszukaniu.

— Będziemy zaatakowani niespodziewanie

— Nie.

Dalton przyciągnął do siebie ajenta i coś mu zaczął szeptać do ucha, poczem pociągnął mnie w tył wraz ze starym Dambleuse.

— Numer 42 będzie stał na czatach na ostatnim stopniu schodów z rewolwerem w ręce — wydawał rozkazy mój przyjaciel. — Jeżeli dosłyszy kroki i spostrzeże, że nas chcą zaatakować, gwizdnie na alarm. Jeżeli zaś zostanie sam napadnięty, strzelać będzie. My zaś przez ten czas zabierzemy się do poszukiwań.

(Ciąg dalszy nastąpi).

LEON GOZLAN.

Historya o stu trzydziestu kobietach

8)

Przybliżcie się deportowane, przybliżcie się tu, żeby zobaczyć, jak to cnota na tym świecie wygląda; ma ona blond włosy, mankietki haftowane, atłasowe trzewiki i — dodała ze śmiechem piekielnym — kochanków krociami. Ale tę panią nie wysyłają za to do Botany Bay. Prawda, wysyłają, ale po to tylko, żeby nas tam odwiozła.

— Dosyć już dosyć — rzekła Karolina Prior głosem, w którym się wyrażała prośba o litość dla pani Forster.

— Dlaczegóż dosyć? — rzekła Prozerpina — czyż ona powiedziała dosyć, kiedy obnażone plecy poczciwego Prestona krwawiły się pod dwudziestoma plagami, które ona wyliczyć mu rozkazała? Chodź tu Prestonie, chodź do mnie, niech cię pocałuję. Widzę, że tęgie w tobie bije serce, mój kochany chłopcze — i pocałowała go po angielsku, to jest w same usta. — Oto jest mężczyzna — dodała — nie taki jak twój kochanek, ten tchórz z zajęczem sercem, którego jużeśmy ukarali za jego podłość. Jeżeli chcesz mieć kochanków, moja pani, to umiej przynajmniej zrobić pomiędzy nimi wybór; wybieraj takich jak my: dzielnych, silnych, młodych, jeżeli się da, ale przedewszystkiem odważnych i poświęcających się. Żeby się nie lękali więcej śmierci jak kieliszka wina, żeby byli gotowi rzucić się na jedno nasze skinienie w wodę z dwiema kulami do nóg przywiązanemi, w ogień z siarką w kieszeni, którzyby, żeby nam się podobać, umieli kraść, rabować, zabijać nawet i śpiewając, szli dla nas na szubienicę. O, i my także kochamy, naszych drogich kochanków i to, co oni dla nas czynią, wzajemnie dla nich uczynilibyśmy i czynimy. Tak pani, tak! kradniemy podczas białego dnia dla nich, dlatego, aby mieli ubiór z aksamitu, my tak kochamy! zabijamy w wielkiem i ludnem mieście, aby przynieść zegarek, szpilkę, lada fraszkę tym drogim kochankom naszej duszy. — Prozerpina unosiła się stopniowo. — Tak — dodała z pewnym rodzajem odurzenia. — Zabijamy dla nich, ja, która ci mówię, zabiłam starca, aby sprawić niespodziankę Ascotowi, aby mieć sposobność zrobić mu podarunek i dopięłam swego. Wlałam roztopiony ołów w ucho śpiącego człowieka, następnie zabrałam mu zegarek, piękny łańcuszek złoty i darowałam je mojemu drogiemu Ascottowi.

Ascott cofnął się z przerażeniem. Nie wiedział był bowiem, za pośrednictwem jakiej zbrodni uzyskał ów dar od Prozerpiny.

— A teraz — mówiła dalej Prozerpina, wyszczerzając w uśmiechu swoje białe zęby, które trochę lwią paszczękę przypominały — a teraz, kiedy już jesteśmy wolnemi, mogę ci to powiedzieć Ascocie i mówię ci to z całego serca, mój drogi Cherubinie, mój kochanku, zabiłam człowieka dla ciebie i dla ciebie to jedynie byłam wysłaną do Botany Bay. Pocałuj mnie, mój aniołku, ale nie masz mi za co dziękować.

Straszna zazdrość mulata, który słowa nie stracił z tej rozmowy, dawała się widzieć na skrzywionych rysach jego wyrazistej fizonomii. — Nie dla mnie to — mówił on sam do siebie — Prozerpina wlała roztopiony ołów w ucho śpiącego człowieka. Ascott, szczęśliwy Ascott, ale przypłaci on za to wszystko.

Pani Forster klęczała ciągle.

— Tu nie o to rzecz idzie teraz — mówiła dalej Prozerpina. — Tak, trzeba, żeby ta pani natychmiast przeprosiła Karolinę Prior. Czyż chcesz pani to uczynić lub nie?

— Nie, nędznico — odpowiedziała lady Forster — nie.

— Kiedy tak, to odbierzesz te same plagi, które Preston za Karolinę Prior wycierpiał.

— Tak, plagi! plagi! — wołały wszystkie deportowane, krzycząc i klaskając w ręce, trzeba ją bić po rękach, po ramionach, po grzbiecie, wszędzie.

— Tak, wszędzie.

— Powstańcy śmieli się jak waryaci; kłótnie kobiet zawsze są dla mężczyzn zabawą.

— A więc zgoda, milady odbierze plagi! — wołała Prozerpina.

— Tak, zgoda na to.

— Zobaczymy ją nagą.

— Chcemy ją nagą widzieć.

— Zaczynajcie!

— Zdjąć z niej szal!

— Zdjąć z niej suknię!

— Zdjąć z niej całe ubranie.

I każdy rozkaz tłumu Prozerpina wykonywała ze sprawnością trudną do uwierzenia; rozbierała panią Forster, która w jednej chwili została w samej tylko koszuli.

Kapitan Forster, pilnowany przez czterech majtków, płakał, płakał ze wstydu i bólu na widok zniewagi, na którą była wystawiona ta, która nosiła jego nazwisko, chociaż okazała się go tak małogodną.

— Już rozebrana! — wołały kobiety.

— Wcale nie brzydka.

— Jaka biała!

— Za bardzo się ściska.

— No! — zawołała Prozerpina, przerywając ten anatomiczny rozbiór wdzięków lady Forster — wybierajcie z pomiędzy siebie, kto z was będzie miał zaszczyt wyliczyć dwadzieścia plag tej szlachetnej lady.

Jedno nazwisko wszystkie powtórzyły usta: „Preston".

I wszystko zakrzyczało: Preston, tak, Preston, Preston, niech się zemści za swoją krzywdę. Plagi za plagi.

I Preston zbliżył się do lady Forster, pomimo poruszenia Karoliny Prior, która go wstrzymać chciała.

— Ta kobieta nie będzie skrzywdzona cieleśnie! — zawołał Carter, którego powaga, jaką Preston zaczynał przybierać tak u Karoliny Prior, jak i u majtków, nazbyt już niecierpliwiła. Straszliwa rywalizacya zaczynała więc już na jaw wychodzić. — Nie, mówił dalej Carter — ja na to nie pozwolę.

— A dlaczegóż? — zapytał Preston.

— Bo mi się nie podoba.

— Więc ty tu masz prawo rządzić? — zapytał znowu Preston.

— Nie odpowiadam na żadne zapytanie.

— A ja się zapytuję jednak — odpowiedział dumnie Preston.

— Ale po cóż! — zawołał, wtrącając się pomiędzy nich Ascott, który widział nadchodzącą burzę i nie sądził, żeby to już był czas do jej wybuchnięcia. — Pocóż ta sprzeczka? Czegóż chcecie? Ukarać tę dumną i złą kobietę? nieprawdaż? i chcecie ją ukarać cieleśnie? ale to nie dość wielka kara, to nic nie jest. Czyż chcecie ją ukarać lepiej, dotkliwiej, boleśniej, tak, jak na to zasługuje.

— Jakżeż ją ukarać Ascocie, czyż plagi nie są karą dość bolesną?

— Niedostateczne tutaj.

— Wytłumacz że się.

— Ona kazała karać, dręczyć, plagować, hańbić deportowane, nienawidzi je śmiertelnie, ona była groźniejszą, straszliwszą, nieubłagańszą dla tych biednych deportowanych od samego prawa. Teraz stoi przed wami obnażona... wdziejcie więc na nią ubiór deportowanej.

— Brawo, brawo, brawo!

Pani Forster wydała krzyk rozpaczy.

— Widzicie! — zawołał Ascott — dotknąłem w najczulszą stronę. — A kiedy już będzie przyobleczona w ten haniebny ubiór, wówczas...

Tu Ascott zatrzymał się na chwilę, bo mu przerwały mowę krzyki jakieś, rozlegające się pod pomostem.

— Wówczas cóż? — wołali niecierpliwie zbuntowani.

Krzyki, które przerwały Ascottowi, był to jakiś wrzask pomięszanych przekleństw i złorzeczeń, które wychodząc z pod pomostu, rozlegały się grzmiącem echem wokoło. Wszystkie oczy zwróciły się ku drzwiom pomostowym i ujrzano wychodzących tamtędy kilkudziesięciu majtków, niosących na głowie i na plecach beczki z solonem mięsem, wanny pełne sucharów, butelki z rumem, połcie słoniny, wiązanki salcesonów, kręgi sera, drób, baryłki kapuśniaku, beczki piwa, koszyki wina Bordeaux, beczułki z wódką etc. Najważniejszą jednak częścią tego tryumfalnego rabunku, tego marszu śmieszno-uroczystego, był, o zmienności rzeczy ludzkich, sam kuchmistrz okrętowy, majster Christmass, blady i wychudły, otoczony zieleniną, jak szynka na święta, z zawieszonym na szyi łańcuchem z kartofli, przewleczonych na sznurek i trzymający w jednym ręku warząchew, a w drugim kwartę wódki pełną. Drżał i pocił się nieborak, słysząc ze wszystkich stron te słowa, które jak grad nań spadały.

— A dalejże psi kuchmistrzu.

— Panowie, ustąpcie się przed jego kucharską godnością.

— Miejsce dla tego lizipolcia.

— Odkryć głowy przed królem rondlowym.

Łatwo było poznać, że majtkowie, którzy jak psa nie cierpią kuchmistrza okrętowego, mścili się nad majstrem Christmassem za wszystkie wina kwaśne, nieświeże przyprawy, grochy nawpół zepsute, przegniłe kartofle i robaczliwe suchary, któremi on i podobni jemu zwykli paść osadę okrętową. Nadszedł nareszcie dzień zemsty.

Zapomniano na chwilę o pani Forster i wszyscy się rzucili do kuchmistrza.

Kiedy go wprowadzono na galeryę, która wybrana już była na miejsce solennych egzekucyj, słyszeć się dały te słowa:

— Kuchmistrzu, obchodziłeś się z nami dotychczas jakby z więźniami, dawałeś nam do jedzenia wszystko, co tylko ci się podobało, a co nam się nie podobało wcale. Dzisiaj musisz nas potraktować tem, co tylko się znajdzie najlepszego i najwykwintniejszego w całym twoim kramie. Dalej, rozdawaj pomiędzy nas te łakocie, dawaj nam jeść i pić do syta.

Kuchmistrz westchnął głęboko.

Thompson zanotował ten nowy fakt na swoim raporcie.

— Dalejże kuchmistrzu do roboty.

I ze wszystkich stron wyciągnęły się ręce, czyhające tu na wołowinę, tu na półgęski wędzone, a nadewszystko na porter, rum i wódkę.

Ileż westchnień, ileż też każda z takich porcyj kosztowała nieszczęsnego kuchmistrza, przymuszonego gwałtem, pomimo całego swojego skąpstwa, na tę niesłychaną rozrzutność. Ale cóż mógł czynić przeciwko sile przemagającej? Dodawał więc, ile kto żądał mięsa i wędzonek i wódki i ta łatwość otrzymywania mocnych trunków tak ożywiła zbuntowanych, tak się upijali powoli, że niedługo niezadowoleni już tem, co im udzielał biedny kuchmistrz, oszołomiony, przestraszony, bezsamowolny, na półumarły już prawie, że nareszcie dochodząc już do ostatniego szczebla pijaństwa, przyszła im do głowy dziwaczna myśl, zjeść samego rozdawacza.

— Panowie — rzekł mulat — zjedzmy kuchmistrza.

— Tak, zjedzmy kuchmistrza! — zawołali wszyscy z szalonym śmiechem — co za myśl wyborna.

Myśl ta pozyskała oklask ogólny.

— Ale jak go przyprawić? — zapytał się który, snadź większy łakotniś od innych.

— Pieczonego.

— E, to strasznie pospolite.

— Na szaro.

— Z groszkiem.

— Niema groszku.

— To z grochem szablastym.

— Niech tam dyabli groch wezmą.

— Naszpikujmy go.

— Z sosem żółwiowym.

— Z kaparami to lepiej jakoś.

A wódka lała się ciągle. Usta już były pomęczone ciągłem piciem. Mężczyźni i kobiety pili jak gąbki. A podczas tego okręt, którym żadna nie kierowała ręka, puszczony był na Opatrzność Bożą na szerokim oceanie.

— Więc zgoda! — zawołali wszyscy jednogłośnie — zjedzmy kuchmistrza.

— Trzeba go wypaproszyć.

— Rozpalcie ogień — rozkazał Samuel.

I ogień rozpalono.

Przynieście mi tu wielki nóż kuchenny, żebym go miał czem wypaproszyć.

— Kiedy przetworzyłeś się na kucharza — zawołał Ascott, który w miarę wzmagającego się pijaństwa coraz kłótliwszego humoru zaczął nabierać i szukał koniecznie jakiegoś powodu do sprzeczki z mulatem — musisz się podjąć dawać nam na obiad 6 dań mięsnych, 3 jarzyny i po 6 butelek wina, a po dwie rumu każdemu.

— Dobrze — rzekł Samuel — dobrze, ale dajcie mi noża, bo muszę przecież wypaproszyć kuchmistrza.

— Litości! — wołał ten ostatni — litości!

— Zapóźno już, panie kuchmistrzu.

— Będę was najlepiej żywił — dodawał biedny Christmass rozdzierającym głosem.

— Jesteś łgarzem, nie wierzymy ci.

— Przysięgam wam na to, codziennie będziecie mieli roast-beef, plum pudding, ciasto migdałowe.

Przyniesiono Samuelowi wielki nóż kuchenny.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Fr. Coppée.

Legenda o manuskrypcie.

Autorowie dramatyczni — drodzy koledzy — słuchajcie prawdziwej, a wielce żałosnej historyi o manuskrypcie!

Młody poeta kończy swe dzieło, jest to dramat wierszem w pięciu aktach z prologiem. Jak biedak Malfilâtre z Quartier latin lub jak Chatterton z przedmieścia Montmartre w dramacie Alfreda de Vigny, zamknął się przyszły geniusz na czwartem czy piątem piętrze z piórami i atramentem, papierem, tytoniem i pięknemi marzeniami i tam upojony pracą, żył długi czas okryty mgłą i obłokami dymu i natchnienia. Jeśli wyszedł kiedy czy na obiad, czy aby godzinkę małą przejść się po odludnej części miasta dla odetchnięcia czystem powietrzem, to chodził jak lunatyk, nie widząc świata zewnętrznego, nie biorąc żadnego udziału w jego życiu.

Szczęśliwy to czas! poeta nasz zapomniał zupełnie o smutnej i nudnej rzeczywistości. Dla niego istniały tylko romantyczne wypadki i poetyczne postacie — dzieci jego wyobraźni. Dzieło jego powstawało rozkosznie jak zorza; marzył wciąż i tylko o niem.

Często zasypiał, przypominając sobie myśl niejasną, wyrażenie słabe lub obraz niedokładny w swoim dramacie, a gdy się obudził i gdy pod wpływem świeżości umysłu niezmęczonego dzienną pracą myśl świeciła czystością, wyrażenie stawało się poetycznem i jędrnem, a porównanie trafnem i wspaniałem, nazywał to kwiatami, które tylko w nocy rozkwitają. Brał się tedy natychmiast do dzieła i gdy stronnicę zapisał, odrywał ją, kreślił i mazał, wreszcie kładł ją na łóżku, aby wyschnęła, następnie zapisywał stronicę drugą, trzecią i czwartą i gdy skończył swą dzienną pracę, dumnym był, zbierając te kartki, pokryte poprawkami większemi lub mniejszemi, jak pole bitwy, zasiane kulami dział i karabinów. Wśród ciągłego rozmyślania i ciągłej samotności, umysł jego nabrał zadziwiającej giętkości i bystrości. Wyrazy niezliczone, jak pszczoły w roju słuchały woli jego, rym odpowiadał rymowi z dokładnością echa. Z magiczną potęgą wywołał on czarowne postacie swego dramatu, bohatera tryskającego męską młodością, bladego jak posąg marmurowy z piersią szeroką, wielką, która miała stawić czoło niezliczonym burzom życia i bohaterkę idealną, wiotką i powiewną jak lilia, z sercem drżącem ukrywaną miłością.

Szczęśliwe chwile urojenia i upojenia poezyą, praca od miłości rozkoszniejsza, bo wśród tworzenia dnie i noce płyną słodko, bez goryczy, bez troski!...

Wreszcie dramat skończony i poeta nasz, chcąc jak najprędzej oddać go do teatru, spiesznie odnosi manuskrypt do przepisania. „Przedsiębiorca odpisów dramatycznych" mieszka daleko przy jakiejś nędznej uliczce — na poddaszu. W małej, zimnej izdebce, skurczeni, o twarzach dowodzących jasno, że trunkiem nie gardzą, siedzą przepisywacze nad papierami przy stole długim i szerokim, złowrogo karawanem nazwanym i piszą zawzięcie. Jeden z automatycznych „alkoholików" bierze z rąk autora manuskrypt i w kilka dni później przynosi mu kopię, dość czysto napisaną, ale bez przecinków, bez kropek nad *i*, bez wielu wyrazów, ze skróconemi nazwiskami i przerażającymi błędami ortograficznymi. Jak wielu innych porządnych ludzi i poeta ma nerwy, więc błędy te doprowadzają go do rozpaczy. Zagoiwszy wreszcie gumą i scyzorykiem rany manuskryptu, odczytuje znów swój utwór i czuje, że na upartego możnaby tam znaleźć pewne małe błędy, w zapale swym chłodnieje, jest niespokojne i ma już pewne wątpliwości.

Ostatecznie jednak manuskrypt dostaje niebieską lub szarą okładkę, jest czysty i wygląda przyzwoicie — poeta krzepi swego ducha nadzieją, a rękopis zaczyna swe podróże.

Jeden z najdowcipniejszych ludzi swego czasu, poeta Teodor de Banville, spytany kiedyś, jakiby był najlepszy sposób ukrycia jakiego ważnego dokumentu przed ciekawem okiem ludzkiem, odpowiedział natychmiast: „Napisz pan tragedyę w pięciu aktach wierszem białym, *Arbogasta* lub coś podobnego; dokument, który chcesz ukryć, wsuń pan w manuskrypt, zwiąż wszystko szpagatem lub tasiemką i oddaj do „Comédie Française". Dokumentu nikt nie znajdzie".

To naturalnie jest tylko dowcipnym paradoksem. Owszem, osobno ad hoc ustanowieni trzej lektorowie teatralni, jak Minos, Eak i Rhadamantys czytają i sądzą manuskrypta. Istnieje przecie tradycya, że kiedyś, ale to bardzo dawno już, jeden dramat, oddany woźnemu czy stróżowi, dostał się do dyrekcyi... był czytany i — grany. Lecz ponieważ mi to opowiadał pewien dyrektor teatru, więc dopóki nie będę miał co do tego wiarygodniejszych świstków, podania takie uważać muszę za bajeczki dla dzieci. Wreszcie dramat, który, jeśli nas interesuje, to nie jest to zasługą moją, ale autora jego, nie rości wcale pretensyi do nadzwyczajnych łask, jest on manuskryptem *par excellence* i musi przejść do końca krzyżową drogę dramatów wierszowanych, kalwaryą dobrych sztuk.

Pierwszą stacyą tej drogi krzyżowej jest naturalnie Theâtre Français. Autor nasz ubrany przyzwoicie i uzbrojony groźnym rękopisem, kieruje kroki swe do tego sławnego gmachu i z sercem bijącem jak młot w kowadło, wchodzi do biura administracyi „Teatru". Wszystko straszy go po drodze: tam posąg Voltairea, tu portret pani Rachel, której oczy tragicznie pojęte, zdają się rzucać na autora i dzieło jego pogardliwe spojrzenia. Podniesiony trochę na duchu przez uprzejme przyjęcie go ze strony sekretarza teatralnego, poeta składa w ręce jego swój ciężar rymowy i opuszcza teatr, drżąc od trwogi i nadziei. Po kilku miesiącach niepewności, w ciągu których tytuł dramatu jego wydrukowany łokciowemi czerwonemi literami na ogromnym afiszu ciągle mu przed oczyma staje, otrzymuje autor list — list mający rozstrzygnąć o wszystkiem, list opatrzony czcigodnym numerem 1680 tym — list oświadczający mu w wyrazach nader grzecznych i uprzejmych, że sztuka jego nie była czytaną na posiedzeniach komitetu i że sztuka jego nie była czytaną na posiedzeniu komitetu i że autor może odebrać swój rękopis. Biuro administracyi otwarte codziennie od godz. 11 tej do 12-tej, oprócz niedziel i świąt.

Jezus upada po raz pierwszy.

Cios zbyt silny; lecz poeta nie traci jeszcze otuchy. Cóż miałby robić, czego oczekiwać po takiem doświadczeniu w „Comédie Française". Byłoby to tylko próbą bez nadziei osiągnięcia celu, więc nasz dramaturg bierze swój rękopis, oczyszcza go trochę za pomocą gumy i suchej bułki i rusza do miejsca deportacyjnego dramatów, do teatralnej Nowej Kaledonii, do literackiej Numei czyli Odeonu.

Kilka godzin, które się naszemu Shakespeare'owi wiekami wydawały, musi spędzić na oglądaniu minionych piękności teatralnych, wreszcie pan sekretarz przyjmuje manuskrypt. I znów po kilku miesiącach trwogi, oczekiwania i niepewności odbiera autor swój rękopis.

Jezus upada po raz drugi.

Lecz poeta rozdrażniony tym powtórnym ciosem, chce poznać powody, które skłoniły dyrekcyę do odrzucenia tej, tak dlań drogocennej pracy — dowiaduje się z osłupieniem, że sztuka jego ma wielkie zalety sceniczne, dobry język etc. etc. etc., ale że miejscami znać uderzające podobieństwo do jakiejś Hypermnestry starożytnej, czy Abufara przedpotopowego, których on nawet z nazwiska nie znał.

Manuskrypt odbywa dalej swą opłakaną Odysseję.

Podobny do butelki, rzuconej do morza przez rozbitków, staje się igraszką bałwanów paryzkiego oceanu. Dostaje się naprzód do jakiegoś „teatralnika", u którego autor, chcąc ostatecznie wprowadzić sztukę swą na scenę, wyżebrał „współpracownictwo". Ten oświadcza naprzód, że „nie może rozpoznać fabuły", wykreśla i zmienia kilka nazwisk z „osób", odcina bezlitośnie wszystkie okresy malujące stan psychologiczny bohatera, wszystkie tyrady, wycieczki satyryczne, aluzye polityczne i wzniosłe wyrażenia i radzi ostatecznie dla upiększenia rzeczy wprowadzić do dramatu padanie śniegu na scenie, zgniły most nad bystrym strumieniem i dziecko umysłowo chore, które gubi w lesie wszystkie papiery i dokumenty do rozwiązania węzła dramatycznego niezbędnie potrzebne!

Manuskrypt podróżuje następnie do teatru dramatycznego, gdzie go uważają za komedyę śliczną i na czasie, dalej do teatru dla komedyi, gdzie w nim znajdują wszelkie warunki na dobrą opera buffo... Z wielką ceremonią przynosi go ktoś pewnego wieczoru do jednego z najdramatyczniejszych, bardzo popularnych, a szeroko-barczystych „bohaterów tragedyi". Manuskrypt przyjęty z grzecznym uśmiechem i gestem pełnej uprzejmości, zostaje rzucony niedbale między peruki i butelki z mastyksem. Jak piłka w pałancie rzucana i odrzucana znów spada on do kawiarni literackiej i tam zostaje natychmiast przyjęty. Powodzenie to jednak wątpliwej sławy. Bo kto bierze? Dyrektor, wieczny *in partibus infidelium*, któremu „minister przyrzekł tego dnia rano sto tysięcy franków subwencyi" i który „czeka tylko" aż się kontrakt skończy lub dyrekcya zbankrutuje, aby objąć natychmiast „Gaîté" lub „Ambigu", stać się przez to mecenasem sztuki, popierać ubogie talenta etc. etc.

Tymczasem zaś jakaś aktorka teatru i cnoty trzeciego rzędu posłyszała o dramacie biednego naszego autora; ten biegnie do niej bezzwłocznie z rękopisem, który tym razem znajdzie się we wspaniałej wazie z porcelany japońskiej między rachunkami modniarki i fryzyera, biletami wizytowemi członków Jockey-Clubu i fałszywemi klejnotami.

A manuskrypt psuje się i wala i brudzi coraz więcej. Woniejący piżmem i tytoniem, zatłuszczony gold-cremem i gliceryną, z plamami od kawy i piwa, jest on więcej zniszczonym niż gramatyka łacińska ucznia drugiej klasy, niż oddziedziczona po przodkach książka do nabożeństwa starej dewotki.

Przechodzi on z rąk do rąk, od sekretarza do dyrektora, od dyrektora do woźnego, od dziennikarza do aktora, od chórzystki do kokotki; a biedny autor biega za nim przez tysiączne brudy, wchodzi do hańbiących towarzystw, kłania się „panienkom", ściska błaznów, staje się zgryźliwym, zazdrosnym i nieznośnym, nie pracuje wcale, psuje sobie życie i traci młodość.

Taką jest drodzy współbracia prawdziwa i żałosna legenda o Manuskrypcie.

Poświęcam ją tym rzadkim egzemplarzom, którzy mają pewność, że nie są geniuszami.

Nie łudzę się.

Wielu i bardzo wielu skromnisiów będzie się porównywało z Kamoensem ratującym Łuzyadę.

Mimo to nie będę żałował mej pracy, jeśli jaki poczciwy chłopak ostrzeżony moim alarmem, przekona się czytając bezstronnie i bez uprzedzenia rękopis swego dramatu, że autor jego ujdzie raczej za dobrego notaryusza lub możliwego jeszcze buchaltera ksiąg hipotecznych, niż na poetę dramatycznego — jeżli wróci do domu, będzie miał wiele dzieci, czego mu szczerze życzę teraz i zawsze. Amen.

Kącik humorystyczny.

Zapałki a politycy.

— Nasze zapałki krajowego wyrobu stają się coraz podobniejsze do naszych polityków i mężów stanu...

— Czy uważa ich pan za tak łatwo zapalnych?

— Nie!... Lecz w pudełeczku coraz częściej spotyka się zapałki bez głów...

Niepotrzebnie się wygadał.

W pewnej instytucyi zgłasza się interesant i zapytuje woźnego, czy mógłby się widzieć z panem radcą.

A woźny na to:

— To będzie trudno, proszę pana, gdyż pan radca jest obecnie bardzo zajęty... Ma właśnie ważną konferencyę w sprawie nie cierpiącej zwłoki i nie kazał się budzić przed szóstą wieczór...

Pokutnik.

— Mężu! Wielkanoc się zbliża — czy myślisz co o rachunku sumienia?

— Ach! dajże mi pokój z tymi rachunkami, przecie widzisz na biurku cały ich stos jeszcze nie zapłaconych.

Kronika tygodniowa

Trzecie rozmyślanie wielkopostne rozpocząć musimy od dymisyi gabinetu Ponikowskiego, na którą wprawdzie, jak to poprzednio zaznaczyliśmy, czekaliśmy codziennie, która jednak wpadła na nas prawie niespodziewanie. Wiadomość o niej nadeszła do Krakowa w tym czasie, gdy kronikarz miał już swoją pracę tygodniową prawie zupełnie przygotowaną do druku, nie można też jej było poświęcić w poprzedniej kronice tyle miejsca, ile jej się należało. Pokazało się jednak, że owa burza, która się tak groźnie zapowiadała, przeszła nad nami dość łaskawie, nie wyrządzając nam większych szkód. Ofiarą przesilenia gabinetowego stał się jedynie minister spraw wewnętrznych i kolei, natomiast ministerstwo handlu i przemysłu dotychczas nie obsadzone w gabinecie Ponikowskiego Nr. I., otrzyma w takimże gabinecie Nr. II. właściwego kierownika, t. j. ministra, a nie jego zastępcę.

Utrzymał się zatem u steru rządów gabinet Ponikowskiego w składzie prawie niezmienionym, co wśród wielu stronnictw, mącących stale wodę, byle tylko usłowić jak najwięcej dla siebie rybek, wywołać musiało bardzo przykre rozczarowanie. Każde z nich miało już przygotowanych kandydatów do tek, nawet więcej niż ich potrzeba, miały się jedynie rozpocząć targi o fotele. Ale w obecnych czasach, gdy każda partya radaby rządzić, ale żadna z nich nie posiada dosyć sił, aby się módz obejść bez pomocy sąsiadów przy utwarzaniu sejmowej większości, bez której obejść się nie może, pierwszą i najgłówniejszą trudność stanowi wyszukanie odpowiedniej osobistości, która by się chciała zająć utworzeniem gabinetu. Tem trudniej zaś o to, że z góry zapowiedziano ewentualnemu premierowi, iż gabinet jego będzie tylko przejściowy, t. j., że jest on powołany tylko do tego, aby naprawić złe, które nas trapi i ułatwić drogę dla następcy. Torowanie zaś drogi dla kogo innego nie każdemu się uśmiecha, każdy powiada sobie w duchu, że skoro już taka wola Boża i ma przyjąć na siebie brzemię rządów i odpowiedzialność na siebie, to woli poczekać jeszcze jakiś czas, niech mu tymczasem kto inny ponsuwa z przed nóg trudności i przeszkody. Mówiono nawet o gabinecie wojskowym, co wobec zagranicy świadczyłoby bardzo źle o naszych stosunkach wewnętrznych, choć gabinet taki byłby w obecnych warunkach może najodpowiedniejszym dla nas, o ile potrafimy się zabrać do rzeczy z wojskową energią i sprężystością.

Na obecnem przesileniu gabinetowem zawiódł się i Kraków, byliśmy bowiem pewni, że bodaj jeden z naszych posłów zajmie fotel ministeryalny, co dałoby sposobność do urządzenia na jego cześć korowodu z pochodniami. Mieliśmy już swojego ministra, boć dr. Bardel to przecież poseł z Krakowa, z owej słynnej listy blokowej „Nr. 5", jakoś jednak nie uznawaliśmy go za swojego przedstawiciela i on też zbytnio nie kwapił się z przyznawaniem się do nas, sercem i duszą oddany swemu stronnictwu, z mieszczuchami nic wspólnego nie mającemu, oraz własnym interesom, które były powodem wczesnego złożenia mandatu „ze względu na nadwątlone zdrowie".

Przy najbliższych wyborach będzie to może dla Krakowian nauczką, że wszelakie bloki, kompromisy i spółki są z zasady dyabła warte i należy być z niemi bardzo ostrożnym, jak to słusznie zauważył pewien znawca ludzi (będący wspólnikiem cichym w pewnem przedsiębiorstwie), że każda spółka obliczoną jest z góry na „wykiwanie" jednego wspólnika przez drugiego.

Narazie o wyborach nowych jeszcze niema mowy, w każdym razie trzeba się do nich zawczasu przygotować, byśmy sobie nie musieli powiedzieć, jak po poprzednich, że „mądry Polak po szkodzie". Dzięki ostatniemu przesileniu termin nowych wyborów zostanie napewno przesunięty nieco na później, o co się z pewnością większość panów posłów nie zgniewa.

Bezpośrednim powodem dymisyi gabinetu Ponikowskiego Nr. I. i utworzenia takiegoż Nr. II. była sprawa wileńska, właściwie zaś nieustające intrygi, jakich widownią jest Warszawa. Dziś, gdy jest już *post factum*, każdy radby zrzucić ze siebie odpowiedzialność i pokazuje się, że winowajcy właściwie niema, że zatem możemy narzekać jedynie tylko na złą gwiazdę, pod którą przyszliśmy na świat. Nawet ci, którzy są uznanymi przez ogół sprawcami, tłómaczą się tak energicznie i przekonywująco, że gotów ktoś uwierzyć, iż na nich nawet cień winy nie spada.

Jak zresztą było, tak było, a co się stało, już się nie odstanie, cieszmy się bodaj z tego, że narazie, przynajmniej chwilowo przesilenie zostało załatwione i możemy się spodziewać w spokoju normalnego biegu wypadków aż do chwili nowej kontrowersyi, czy to w łonie sejmu, czy rządu, a sposobność do niej nadarzyć się może już jutro, t. j. w niedzielę, gdyż obecna kronika z kałamarza dostaje się na papier w sobotę. A od soboty do czwartku, ewentualnie piątku, gdy numer *Nowości Illustrowanych* dostanie się w ręce Czytelników, może zajść wiele niespodzianek, może powstać w międzyczasie i upaść nie jeden gabinet, ale nawet dwa lub trzy.

Nie wiadomo, czy w związku z ostatniem przesileniem, czy też nie mając z nim nic wspólnego, marka nasza zaczęła spadać w kursie, równocześnie zaś zaczęły się podnosić ceny artykułów i to przedewszystkiem najniezbędniejszych. Zdrożało pieczywo, a piekarze tłómaczą się, że jest to następstwem zbliżającego się przednowku, który z zasady pociąga za sobą podwyższenie cen zboża, masarze zapewniają, że w niedługim czasie będzie Kraków pozbawiony wędlin, co jest zresztą zwykłą zapowiedzią zbliżającego się okresu wielkanocnego, nierozłącznie spojonego z ich wyrobami. Twierdzą, że towaru brak, ponieważ trzodę wywozi się masowo za granicę, nie ulega jednak kwestyi, że jest to tylko przygrywka do nowego podniesienia cen w najbliższym czasie. Ale bez szynek i kiełbas nawet we Wielkanoc obejść się możemy, trudniej natomiast dać sobie radę bez chleba, którego cena doszła obecnie do takiej wysokości, iż ojcowie i dziadowie nasi, gdyby stanęli między nami, nie chcieliby wierzyć, że to ten sam Kraków, który przed laty opuścili, gdy bułeczka centowa, rumiana i trzeszcząca, kosztowała naprawdę centa i jeszcze się narzekało, że taka drożyzna, gdy lat temu pięćdziesiąt wstecz było daleko taniej.

Pocieszajmy się jednak tem, że nie jesteśmy odosobnieni, bo i gdzieindziej dzieje się nie lepiej. Nie mówimy oczywiście o Rosyi sowieckiej, gdzie „dyktatura proletaryatu" doprowadziła do takich stosunków, iż za najdrobniejszą rzecz trzeba płacić setkami tysięcy, to samo widzimy i na Zachodzie. Wiedeń i Berlin były widowniami rozruchów głodowych, a nawet w Szwajcaryi, którą uważaliśmy dotąd za ziemię obiecaną, opływającą we wszystko, nie wiedzie się ludności tak jak ktoś mógłby sobie wyobrażać. I tam drożyzna, wprawdzie w mniejszym stopniu, daje się odczuwać, ustał bowiem prawie zupełnie wszelki ruch handlowy i przemysłowy. Szczególniej wywóz ze Szwajcaryi jest bardzo utrudniony, nie każdy bowiem może sobie pozwolić, ze względu na bardzo wysoki kurs tamtejszego franka, na zaopatrywanie się tamże w rozmaite artykuły, których sprzedaż przynosiła Szwajcarom poważne dochody. Dzięki tej różnicy w kursie szwajcarskiego franka i polskiej marki kilogram oryginalnego sera ementalskiego, którego Kraków spożywał dawniej tysiące kilogramów rocznie, kosztuje dzisiaj tylko... pięć tysięcy marek. I jakoś trudno wyobrazić sobie, jak to kilka zaledwie lat wstecz, można było w pierwszorzędnym lokalu dostać „bułeczkę z ementalerem" za szóstkę. Dziś za coś podobnego trzeba byłoby zapłacić co najmniej „pół lisa" t. j. pięćset marek, bo tysiączka ma obecnie daleko mniejszą wartość, niż w owym czasie miał ją tak lekceważony banknocik koronowy.

Ze względu na te ceny i ciągły ich wzrost, w miarę jak zbliżają się święta Wielkanocne, puchnie też każdemu ojcu rodziny głowa na samą myśl, ile też „lisów lub tygrysów" trzeba mieć w portfelu, aby sobie módz pozwolić na urządzenie bodaj takiego święconego jakie dawniej pociągało za sobą wydatek dziesięciu koron. Jakiej kwocie odpowiadałaby obecnie ta skromna sumka, może sobie każdy wyobrazić, jeśli porówna cenę zapałek przed wojną i w dniu dzisiejszym. Z obliczenia przekona się, że ta sama ilość, jaką otrzymywał wówczas i to kupując detalicznie, kosztowałaby dziś trzydzieści tysięcy marek, gdy natomiast dawniej tylko dwadzieścia koron. Trzydzieści tysięcy marek ma więc dziś taką mniejwięcej wartość jak dawniej dwadzieścia koron, z czego wynika, że na urządzenie sobie święconego zwykły śmiertelnik, naprzykład urzędnik, żyjący z ograniczonych miesięcznych dochodów, pozwolić sobie nie może, gdyż ten wydatek zrujnowałby kompletnie jego budżet całoroczny.

A święta Wielkanocne mają to do siebie, że połączone bywały z obżarstwem i pijaństwem. Nie było domu, w którym nie spotkałoby się w tym czasie z bodaj skromnie zastawionym stołem, wśród którego honorowe miejsce zajmowała szynka, owinięta splotami kiełbasy, na straży stały babki, mazurki, jajeczniki i jak się tam jeszcze podobne bałabuchy nazywały. Z kąta pokoju wyglądała zaś dyskretnie ukryta tamże baterya różnego rodzaju flaszek, czekających jedynie na chwilę rozpoczęcia ofenzywy. A jak tu sobie dziś pozwolić na coś podobnego, gdy litr wódki kosztuje do czterech tysięcy marek, a sama opłata rządowa od litra wina wynosi tysiąc sto marek.

Pozwolenie sobie na urządzenie święconego w tych warunkach jest zatem dla zwykłego śmiertelnika wykluczone, gdyby nawet już w kwietniu wypłacono mu trzynastą płacę miesięczną, znalazłby się dopiero w kłopocie, na co ją obrócić, aby stół we święta bodaj przypominał dawne, przedwojenne czasy. A jeśli się do tego doda jeszcze, że zbliża się wiosna, a z nią potrzeba zakupienia tego i owego dla rodziny, która już dziś wspomina o nowych kostyumach, kapeluszach i tp., nadto zaś kwartał, kiedy gospodarz przypomni się o czynsz za mieszkanie, nic dziwnego, że ojcu rodziny robi się coraz czarniej przed oczyma, po głowie zaś plątają się myśli samobójcze. Gdyby można było bodaj tanim kosztem zalać tego robaka, który równocześnie gryzie serce i kieszeń, to jeszcze mniejsza, niestety, na takie spędzenie trosk z powodów wyżej wyliszczonych pozwolić sobie może tylko paskarz-milioner, a nie dziadowód pracujący umysłowo, przyświecający społeczeństwu wytartymi łokciami i kolanami, nie mówiąc już o odwrotnej stronie medalu, która, Bogu dzięki, jako zakryta połami surduta, nie jest narażoną na natrętne spojrzenia. I tem się tłómaczy, że coraz więcej widzi się ludzi w strojach uroczystych, jak anglezy i żakiety, gdy natomiast marynarka, jako zbyt krótka, zaczyna wychodzić z mody. Gdy mężczyźni noszą coraz dłuższe szaty, niewiasty natomiast ubierają się coraz króciej, a gdy im jakiś zacofaniec robi z tego powodu wyrzuty, odpowiadają, że dzieje się to ze względów oszczędnościowych, zdzierają bowiem garderobę, pozostałą z panieńskich lat. Błogosławieni wierzący, powiada Pismo św., są ludzie którzy wierzą, że to prawda.

Mając tyle kłopotów, trudno pamiętać o tem, o czem w normalnych warunkach z pewnością pamiętałoby się dobrze. Nie można zatem brać za złe Krakowianom, że stuletnią rocznicę urodzin Teofila Lenartowicza zupełnie sobie zbagatelizowali. Przypomniały ją wprawdzie niektóre dzienniki, odbyły się także i odczyty, poświęcone pamięci poety, jeden z nich zaszczyciło swą obecnością dziesięć osób, drugi zaś aż czterdzieści. Tego rodzaju poważne uroczystości jakoś się w Krakowie nie udają, gdyby jubilat przybył osobiście, zjawiłoby się może o dwadzieścia osób więcej na sali, nie brakłoby ich natomiast na urządzonym z tego powodu bankiecie, szczególniej jeśli wzięcie udziału nie byłoby połączone z żadnymi kosztami. Nie wiedział o tem Lenartowicz i umarł wcześniej, nie mógł też z tego powodu pokazać się Krakowianom, sam zatem przypisać sobie musi winę, a część jej niechaj przyjmie na siebie także i komitet, zajmujący się urządzeniem obchodu jubileuszowego, iż nie potrafił rozruszać ospałych Krakowian. Bo nie zawsze sala odczytowa świeci u nas tak przerażającemi pustkami, jak to było na odczytach o Lenartowiczu. Głębokie i podniosłe tematy, jak naprzykład o figielkach wiosennych Krakowian w lesie bielańskim, znajdują chętnych słuchaczów, nie brakło ich również na jubileuszowym odczycie Przybyszewskiego na temat „Nagich dusz", gdyż prelegentem był sam jubilat i spodziewano się, że poruszy momenty, które niejedną „ubraną duszę" nerwowo podrażni i nastroi odpowiednio do ducha czasu, obecnie będącego w modzie, nieznanego zaś zupełnie Lenartowiczowi.

Jesteśmy pewni, iż sala byłaby również zapełnioną po brzegi słuchaczami płci obojga, gdyby ogłoszono odczyt pod tytułem: „O czem kobieta powinna wiedzieć, wychodząc za mąż" i gdyby nadto dodano: „Wstęp tylko dla dorosłych". Przy kasie biletowej i drzwiach sali odczytowej toczyłaby się formalna bójka o miejsca, wyobrażamy sobie jednak, jakie ogólne nastąpiłoby rozczarowanie, gdyby prelegent lub prelegentka, zamiast mówić o spodziewanych drastycznościach, powiedzieli, iż kobieta powinna się znać na gospodarstwie domowem, większą opieką otoczyć własne dzieci, niż chińskie lub murzyńskie, starać się uprzyjemnić małżonkowi życie, a nie zamieniać je w piekło, jednem słowem, spełnić godnie swe powołanie, nie dając się w tem zastąpić, jak się to dziś powszechnie dzieje, służącej, która jest właściwą panią domu, a pani domu w nim tylko gościem.

Nie ulega kwestyi, że krakowską publiczność poruszyłby odczyt o olbrzymim wężu, teroryzującym ludność afrykańskiej Rhodesii, który pożarł dotąd, jak donosi jeden z krakowskich dzienników, czworo ludzi, sto cieląt i odpowiednią liczbę psów i kur. Jak się zdaje ma się tu do czynienia z owym sławnym wężem morskim, pojawiającym się w kanikularnych czasach na łamach pism, a przebywającym obecnie na lądzie stałym celem przeprowadzenia słonecznej kuracyi. Niespełna rok temu ten sam dziennik, który obecnie straszy Krakowian wężem, doniósł na podstawie informacyi swego własnego korespondenta o pojawieniu się w Afryce środkowej olbrzymiego potwora, przypominającego wzrostem i kształtem przedpotopowe jaszczury.

czona. Natychmiast po podpisaniu przez nowożeńców w zakrystyi aktu ślubnego, utworzył się długi szpaler, którego środkiem szczęśliwa para udała się ku wyjściu, przyjmując po drodze życzenia. Z chwilą, gdy ukochana przez wszystkich królewna ukazała się pod rękę z nowo poślubionym małżonkiem na stopniach opactwa, tłumy ogarnął nieopisany wprost entuzyazm.

Uformowany przy odjeździe z opactwa orszak składał się z oddziałów przepysznej gwardyi przybocznej o purpurowych mundurach i lśniących hełmach i zbrojach, na pięknych koniach maści bułanej, a gwardya królewska otaczała karetę nowożeńców, wybijając się wysoko ponad tłum olbrzymiemi swemi bermycami niedźwiedziemi. Wicehrabia Lascelles miał na sobie pełny mundur tejże właśnie gwardyi królewskiej.

Drogą okólną, wśród niemilknących okrzyków tłumów, skierowano się do pałacu Buckingham, gdzie nowożeńców i około 2,000 zaproszonych gości oczekiwała uczta weselna.

Tłumy oczekiwały jednak na ponowne ukazanie się nowożeńców w przejeździe z pałacu do dworca Paddington, skąd szczęśliwa para miała udać się specyalnym pociągiem królewskim do Shifnal, w hrabstwie Shrophire, gdzie spędzoną ma być część miodowych miesięcy.

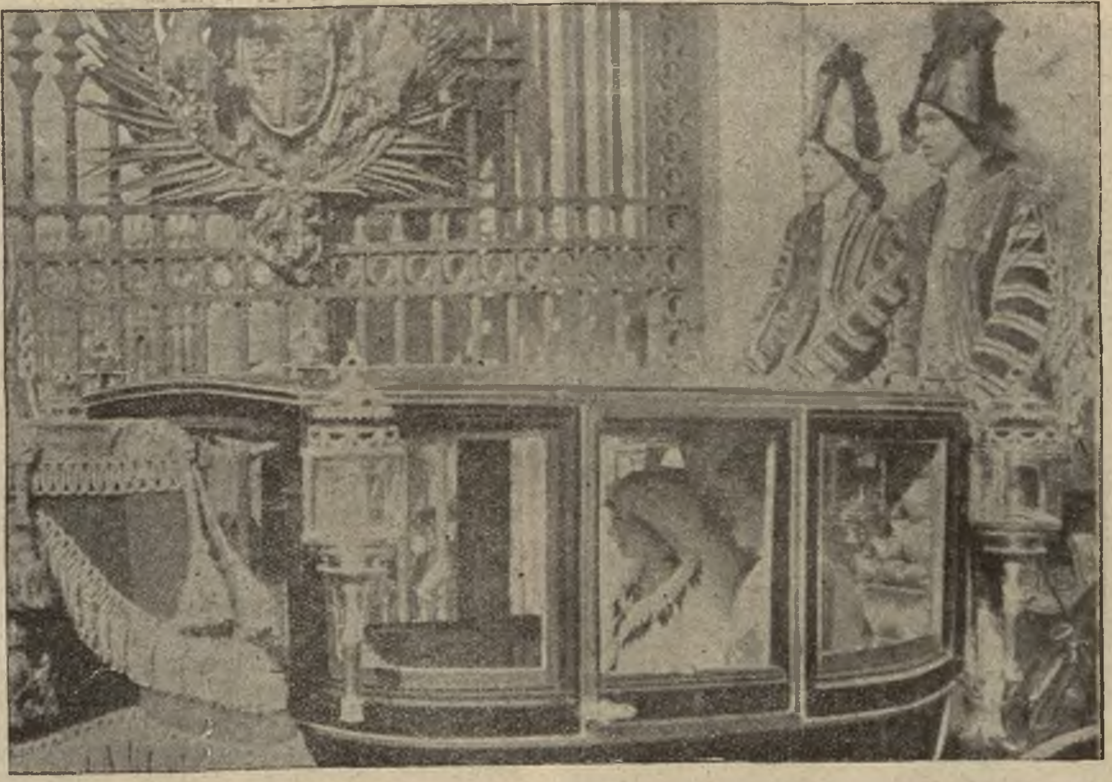
Tłumy, które w dniu tym zalegały ulice Londynu między pałacem Buckingham a opactwem westminsterskiem obliczają na przeszło pół miliona, niezwykły ruch panował na ulicach i w lokalach publicznych do późnej nocy, choć nowożeńcy opuścili stolicę około piątej popołudniu. Zaślubiny swej ukochanej księżniczki obchodził bardzo hucznie cały Londyn, miasto udekorowano wspaniale.

Darów ślubnych nadesłano niesłychane mnóstwo. Są one nietylko cenne, ale nieraz bardzo oryginalne. Tak więc mieszkańcy miasteczka Ashbourne w hrabstwie Derbyshire ofiarowali młodej parze piłkę nożną. Ale nie ladajaką. W mieścinie tej od 700 lat panuje zwyczaj, iż w tłusty wtorek, a właśnie na ten dzień ślub wyznaczono, całe miasto wylega w pole i staje do wielkiej partyi piłki nożnej, na przestrzeni dwu mil ang. Taką to piłkę nożną, ale opatrzoną jeszcze portretami księżniczki i Harry Lascelles'a, ofiarowano w darze pannie młodej.

Na uwagę zasługuje też prezent, przysłany przez „Ligę zachodnio australijskich żołnierzy, którzy powrócili do kraju". Żołnierze ci przysłali skrzynkę z kwiatami, które „odmrożono" dopiero przed wręczeniem ich księżniczce. W dzień ślubu wszystkie szkoły były wolne od nauki.

Najsłynniejsi cukiernicy angielscy przygotowali królewski tort na ucztę weselną. Tort ten był rodzajem pomnika, 2 m. wysokiego. Ubrany był kwiatem pomarańczowym, różami, białym i różowym wrzosem, oraz ostami, symbolem Szkocyi. Wśród tego umieszczone były tarcze herbowe królewny i wicehrabiego Lascelles. Ow olbrzymi tort ważył 280 kilogr. i z Edinbourga, gdzie go zrobiono, wysłany został do Buckingham Palace ze specyalnemi ostrożnościami.

W gwarze i gorączce przygotowań do nowych wszechświatowych prac, mających przywrócić ekonomiczną równowagę i dobrobyt narodom tak boleśnie dotkniętym wojną, zupełnie prawie uchodzi uwagi społeczeństw fakt, który dawniej wzbudziłby powszechne zaciekawienie: Ślub księżniczki angielskiej.



Zaślubiny na angielskim dworze królewskim Król i księżniczka Mary, w galowej karocy w drodze do opactwa westminsterskiego.

Oddawna już przygotowano się do tej bajecznej uroczystości, Ponieważ księżniczka wyszła za mąż nie za księcia z panującego rodu, lecz za Anglika, lorda, ściślej wicehrabiego Lascelles'a, skutkiem tego starano się ile można było nadać uroczystościom charakter mniej ceremonialny, bardziej narodowy, powiedzmy demokratyczny.

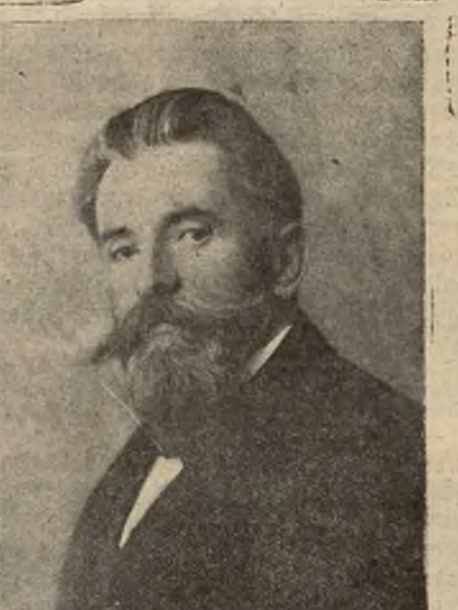
Hojnie rozesłano zaproszenia przedstawicielom wszystkich klas społecznych, starając się nikogo nie pominąć. Król szczególny nacisk na to położył. Zaproszono zatem ministrów z żonami, byłych ministrów z żonami, przedstawicieli władz, stowarzyszeń, stronnictw politycznych, posłów parlamentu, burmistrzów, przedstawicieli nauki, sztuk pięknych, przemysłu i handlu a także przedstawicieli robotniczych organizacyi męskich i kobiecych, nie zapominając też o inwalidach wojennych.



Zaślubiny na angielskim dworze królewskim: Powrót nowożeńców do Pałacu Buckingham po ceremonii zaślubin.

Zgon profesora krakowskiej Wszechnicy.

Krakowską *Almam Matrem* okryła znowu żałoba. Z szeregu jej profesorów ubył dr. Stanisław Braun, nadzwyczajny profesor położnictwa i chorób kobiecych, znany w świecie naukowym, jako wytrawny teoretyk, a w szerokich kołach naszego społeczeństwa ceniony, jako doskonały praktyk w swym zawodzie, co mu zyskało uznanie i zaufanie cierpiących.



Zgon profesora krakowskiej Wszechnicy: Śp dr. Stanisław Braun, nadzwyczajny profesor położnictwa i ginekologii na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Urodzony w r. 1859 w Jaszczwi koło Krosna, po ukończeniu jasielskiego gimnazyum i studyów medycznych na krakowskiej Wszechnicy, gdzie w r. 1884 uzyskał stopień doktora wszech nauk lekarskich, pełnił początkowo obowiązki lekarza wojskowego, poczem, jako lekarz pułkowy pierwszej klasy przeniósłszy się do stanu cywilnego objął obowiązki sekundaryusza na oddziale chirurgicznym Szpitala św. Łazarza pod kierunkiem prof. Obalińskiego, poświęcając się również chorobom wewnętrznym przy boku prof. Pareńskiego. Następnie wyjazd do Wiednia, gdzie specyalizuje się w dziale położnictwa i chorób kobiecych, a po powrocie stamtąd pełni przez lat pięć obowiązki pierwszego asystenta na Klinice położniczo-ginekologicznej prof. Madurowicza. W roku 1892 uzyskuje *veniam legendi* na krakowskim Wydziale medycznym z zakresu położnictwa i gineko-

logii, a w r. 1909 zamianowany zostaje profesorem nadzwyczajnym tegoż przedmiotu.

Owocem działalności naukowej Zmarłego był liczny szereg prac fachowych, wydanych staraniem Towarzystwa dla wydawnictw polskich dzieł lekarskich, działalność jego pedagogiczna na krakowskim Wydziale lekarskim zasługuje też na wybitne zaznaczenie. Jako lekarz praktykujący, dzięki swemu uzdolnieniu i sumienności zyskał sobie ogólną wziętość, wielkiem zaufaniem cieszył się też założony przez niego w r. 1892 Dom zdrowia. Był jednym z założycieli i najgorliwszych członków Krakowskiego



Z sali koncertowej: Jose Pepito, Arriola, nadworny pianista hiszpański.

Ochotniczego Tow. Ratunkowego, w którem w r. 1898 dzierżył godność wiceprezesa, a za zasługi dlań położone zamianowany został przez Walne Zgromadzenie jego członkiem honorowym. Sp. Zmarły brał bardzo żywy udział w pracach krakowskiego Towarzystwa Lekarskiego, należał też do grona założycieli Kasy pożyczkowej lekarzy małopolskich.

Zgon śp. prof. Brauna wywołał żal ogólny, a żywym wyrazem jego były ostatnie słowa pożegnania nad grobem Zmarłego przez prof. Rosnera, imieniem Wydziału lekarskiego i d-ra Wojciechowskiego za krakowskie Towarzystwo Lekarskie.

Z sali koncertowej.

Czas wielkopostny najodpowiedniejszym jest do urządzania koncertów, w tym też okresie odbywały się zawsze u nas produkcye najsłynniejszych naszych i zagranicznych artystów, cieszące się liczną frekwencyą prawdziwych miłośników muzyki i śpiewu, których nie brak w Krakowie, choć niejednokrotnie zarzuca się naszemu miastu, że zbyt mało uwagi poświęca sztuce i niedocenia należycie jej kulturalnego znaczenia. Zarzuty te są nieuzasadnione, a dowodem tego fakt, że występy artystów zasługujących na to, witane były zawsze bardzo gorąco tak przez prasę, jak i publiczność, a występujący nie mieli powodu do narzekań na zbyt chłodne przyjęcie.

Z czemś podobnem spotykamy się i dzisiaj. Za powiedziany na najbliższy tydzień w naszem mieście koncert znanego dobrze za granicą hiszpańskiego pianisty Josego Pepito Arrioli obudził żywe zainteresowanie wśród krakowskich miłośników muzyki, spieszących do sali koncertowej nie tyle dla zabicia czasu lub pokazania się w nowej tualecie, ile dla wysłuchania koncertu i zaspokojenia swego artystycznego poczucia. Już przed ogłoszeniem koncertu rozkupiono część biletów, sława artysty dotąd u nas zupełnie nieznanego, dotarła i do podwawelskiego grodu, który sympatycznie powita hiszpańskiego wirtuoza, człowieka wprawdzie jeszcze bardzo młodego, ale znanego już zaszczytnie na obu półkulach.

Jose Pepito Arriola, nadworny pianista króla hiszpańskiego, koncertował z niezwykłem powodzeniem w Ameryce. W Europie zdobył swe wielkie imię koncertami w Londynie, Berlinie, Petersburgu, Moskwie i Warszawie. W przejeździe do Łodzi i Warszawy wystąpi z jednym koncertem w Krakowie. Na jednym z najbliższych koncertów symfonicznych wykonane zostaną szkice hiszpańskie „Boronnes" Arrioli, które doznały entuzyastycznego przyjęcia w Berlinie.

Hiszpański gość przybywa do naszego miasta dzięki serdecznym stosunkom, jakie go łączą z naszym krakowskim wirtuozem pianistą p. Mieczysławem Münzem. Powrócił on do rodzinnego miasta po wspaniałych sukcesach, odniesionych za granicą, w Wiedniu, Berlinie i Rzymie zdobywając wszędzie prawdziwe uznanie dla polskiej sztuki muzycznej i jej przedstawiciela. W listopadzie b.r. grać będzie w Wiedniu i Budapeszcie, zaś w grudniu w Berlinie, skąd udaje się do Hiszpanii, zaproszony na występy w Madrycie, Barcelonie i kilku innych miastach. Jak się dowiadujemy, poczyniono starania, aby p. Münz wystąpił i w Krakowie z koncertem na rzecz Związku Muzyków Polskich.

Po konferencyi w Boulogne.

Zjazd genueński poprzedziła konferencya Lloyd'a George'a z Poincare'm odbyta w ostatnich dniach lutego w Boulogne.

Czterogodzinna rozmowa między naczelnikami rządów pozwoliła odzyskać czas stracony przez kilka tygodni i doprowadziła do zgody co do warunków politycznych w Genui, oraz przygotowała zgodę co do innych zagadnień dotyczących obydwuch krajów. 1. Traktaty polityczne podpisane przez Francyę nie będą kwestyonowane. (Zastrzeżenie to oznacza, że konferencya genueńska nie stanie na stanowisku uznania z góry ważności traktatów pokojowych zawartych przez Sowiety czy to w Brześciu L'itewskiem czy też z krajami bałtyckiemi czy Polską.) 2. Kwestye odszkodowań nie będą na konferencyi rozważane. 3. Liga Narodów przyłączy się do prac konferencyi w ten sposób, że wszelkie sprawy bądź takie, któremi Liga Narodów zajmowała się już poprzednio, zostaną jej przekazane. (Odnosi się to w szczególności do sprawy rozbrojenia).

Po dojściu do porozumienia w sprawie tych trzech punktów Lloyd George i Poincare zgodzili się również na następujące warunki polityczne:

1. Zgoda na udział Sowietów w konferencyi genueńskiej nie oznacza tem samem uznania rządu rosyjskiego. Każdy z rządów będzie miał w tej sprawie nadal wolną rękę.

2. Sprawa długów zaciągniętych przez Rosyę na potrzeby wojny, a mianowicie długów związanych z wyprawami Kołczaka i Denikina, nie będzie omawiana.

3. Zobowiązanie narodów Europy do wzajemnego



Z sali koncertowej: Mieczysław Münz, krakowski wirtuoz-pianista.

powstrzymania się od akcyi zaczepnej nie oznacza, aby państwa sprzymierzone zobowiązały się do ewentualnego niestosowania sankcyi przeciw Niemcom lub utrzymania sankcyi, które już zostały wprowadzone w życie.

Termin konferencyi w Genui odroczony został do dnia 10 go kwietnia roku bieżącego. Przy tej okazyi Lloyd George żywo nalegał, aby Poincare osobiście wziął udział w konferencyi. Poincare mógł skonstatować, że pewne intencye przypisywane Lloyd Georgowi były mu przypisywane niesłusznie i zdaje się również, że porozumienie się co do zawarcia sojuszu francusko angielskiego może być uważane za fakt dokonania. Anglia zgadza się na przedłużenie terminu projektowanej ugody zgodnie z życzeniem Francyi. Podpisanie projektowanego traktatu ma nastąpić w każdym razie przed konferencyą genueńską. W tym celu Poincare uda się prawdopodobnie do Londynu.

Po odjeździe Poincarego, Lloyd George przyjął dziennikarzy, którym premier podkreślił szczególnie



1) **Po konferencyi w Boulogne:** Rajmund Poincare po przybyciu na konferencyę w Boulogne. 2) Przybycie Lloyd'a George'a do Boulogne w dniu 25 lutego.

przyjazny charakter konferencyi z Poincarem oraz zupełną zgodę wśród jakiej rozeszli się obaj premierzy i dodał, że porozumiał się z Poincarem co do tego, iż po utworzeniu się nowego gabinetu we Włoszech będzie zwołana konferencya angielsko-francuzko-włoska w celu uregulowania spraw bliskiego Wschodu.

Ostatnie chwile skazańca.

Ludzkiej sprawiedliwości stało się zadość. Paryski Sinobrody, Landru, którego sprawa tak długo zajmowała nietylko Francyę, ale także i świat cały i dawała niewyczerpane źródło różnych, najfantastyczniejszych przypuszczeń, ów ulubieniec paryskich kobiet, a zarazem i ich postrach, stanął w dniu 25 lutego b. r. na szafocie, a gilotyna przecięła pasmo jego zbrodniczego żywota.

Jego odwołanie od wyroku oraz wniosek sędziów przysięgłych na ułaskawienie nie zostały uwzględnione, prezydent Republiki podpisał wyrok, a głowa skazańca spadła pod ostrzem noża gilotyny.



Z Teatrów: „Mizantrop" Moliera. Końcowa scena w V. akcie. Pokój stylowy.

Czas od chwili zasądzenia aż do wykonania wyroku spędził Landru w swej celi z najzupełniejszym spokojem i zimną krwią, utrzymując stale, że jest niewinny i że sędziowie przysięgli się pomylili. Gdy doszła go wiadomość o upadku gabinetu Brianda, oświadczył z cynizmem, właściwym wyrafinowanym zbrodniarzom, że jest to zasłużona kara za zbrodnię, jakiej się za jego rządów na nim dopuszczono i że nie wątpi, iż prawda wyjdzie na jaw i przekona świat cały, na jak fałszywych przesłankach oparli sędziowie paryscy swój potępiający wyrok.

Najciekawszy jest list, jaki Landru z swej więziennej celi wystosował do prokuratora w przeddzień swej śmierci. Pisał on go w tonie ironicznej wyższości. Stylem tak płynnym i jasnym, że go pozazdrościć może niejeden literat, opowiada o pojedynku duchowym pomiędzy oskarżonym a oskarżycielem publicznym. Ciągle spotykają się ich spojrzenia, je den czyha na słabe momenty drugiego, aż do chwili wyroku. Kto jest zwycięzcą? Landru wypowiada swoją opinię: „Ja byłem spokojny — pan wzburzony. Ja umieram z całym spokojem i niewinny!

Życzę panu — łącząc zapewnienie mego poważania — aby sumienie pańskie było równie spokojnem".

„Matin" zreprodukował próbkę tego pisma. Jest ono wyraźne — ani jedno słowo nie zostało przekreślone. Prasa paryska stwierdza, że Landru mógł być zbrodniarzem, ale w każdym razie był człowiekiem niesłychanie silnym.

Interesującym przyczynkiem do tego ostatniego listu Landru jest wiadomość, podana przez „Petit Journal" bez żadnych komentarzy. Oto ów mężczyzna z Montrealu, który swego czasu telegrafował, iż jedna z zaginionych kobiet prawdopodobnie u niego mieszkała, zgłosił się ponownie. Podobno władze stwierdziły, że kobieta, o którą chodziło — zmarła przed dziesięciu laty w Montrealu i tamże została pochowaną. Tymczasem obecnie ów Montrealczyk pisze, że zaszła pomyłka, albowiem u niego mieszkała inna kobieta, którą w krytycznym czasie przygarnął z litości. Gotów jest stawić świadków, którzy ową kobietę widzieli.

Bardzo możliwem jest, że wszystko to okaże się „kaczką", puszczoną przez dzienniki paryskie.



Ostatnie chwile skazańca: Trupiarka, przewożąca wczesnym rankiem 25 lutego zwłoki zgilotynowanego Landru na cmentarz.

Z TEATRÓW.

Teatr im. Jul. Słowackiego: Uroczystość ku czci Moliera — *Mizantrop*, komedya w 5 aktach. Przekł. Dra T. Żeleńskiego-Boya.

Trzechsetletnia rocznica urodzin nieśmiertelnego komedyopisarza Francyi, Moliera, odbiła się żywem echem w całej Polsce. Wszędzie, gdzie znajdują się placówki kulturalno-oświatowe, gdzie są szkoły ogólkształcące, gdzie teatry i ogniska pracy umysłowej — tam wszędzie Moliera uczczono — mówiąc o nim, zapoznając z nim publiczność i przypominając związki komedyi polskiej z jego twórczością.

Kraków — rzecz jasna — nie pozostał w tyle. Staraniem „Przyjaciół Francyi" odbyła się w zeszłym tygodniu piękna uroczystość w południe w auli Uniw. Jagiell. Uroczystości tej nadano formę posiedzenia Towarzystwa „Przyjaciół Francyi", wskutek czego można było mianować p. Żeleńskiego-Boya członkiem honorowym.

Poza obchodem, urządzonym przez „Przyjaciół Francyi", osobna wzmianka należy się uroczystości przygotowanej przez Akademię Handlową. Była to jedyna szkoła, która publicznie złożyła hołd Molierowi, na którym przecież kształcili się nie tylko nasi komedyopisarze, ale kształcą się po dziś dzień umysły młodych pokoleń, ucząc się cenić prawdę i szczerość, a potępiać obłudę i hypokryzyę. Wieczór Akad. H. w Teatrze im. Słowackiego był wspaniale zorganizowany i artystycznie wykonany. Śpiewy chóru (kier. p. Zbrożkówna), występy orkiestry smyczkowej (dyr. prof. Petelenz) stały na bardzo wysokim poziomie. Dopełniła całości wytworna mowa prof. Pszona po francusku oraz doskonały odczyt o Molierze p. Boya. Podczas śpiewania Marsylianki publiczność zgotowała serdeczną owacyę pod adresem misyi francuskiej.

Obie powyższe uroczystości zakończyło przedstawienie „Mizantropa". Powinszować należy dyrektorowi Trzcińskiemu, że w przeciągu pięciu dni dał taką wystawę i kostyumy, oraz tak zręcznie przygotował artystów. „Mizantrop" — to komedya arcytrudna do odegrania i — mówię to śmiało — dla szerokiej publiczności dzisiaj jeszcze u nas się nie nadająca. To utwór dla znawców, smakoszów i psychologów! Grać ją też i mówić trzeba arcypięknie i subtelnie. U nas grali ją artyści bardzo młodzi, do tego rodzaju sztuk jeszcze nie zaprawieni. Że grali i mówili całkiem dobrze, to zasługa ich dyrektora oraz ich talentów. P. Bracki jako Alcest ma piękny, męski głos. Gdy go z czasem jak dyament oszlifuje, zaliczy rolę Alcenta do popisowych. Uro-



Z Teatrów: „Mizantrop" Moliera. P. Nosarzewska jako Celimena (Kostyum stylowy).

czą Celimeną była p. Nosarzewska Ta rola świadczy, że mamy przed sobą talent duży i wszechstronny. P. Krasnowiecki kapitalnie czytał swój sonet (Oront) p. Kacicka-Gallowa (Eljanta) i Klońska-Sauerowa (Arsen.) mówiły i ruszały się bez zarzutu. Wogóle wszyscy, a więc obaj markizi (p. Białkowski i Malinowski), Ergast (p. Miarczyński) na uznanie za trud i aż tak wielkie zwycięstwo zasługują. Kiedyś, na różnych doświadczeniach i nabytych sekretach gry scenicznej, powyżsi artyści takiego „Mizantropa" odegrają po „parysku". Ale i dziś na pełne uznanie już zasłużyli. *b—z.*



Z Teatrów: „Mizantrop" Moliera. P. Bracki jako Alcest. (Kostyum stylowy).

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę PT. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek

Zagadki do nagrody.

Logogryf.
Ułożył W. Z. Piotrków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda godność i imię pewnej niedawno zmarłej osobistości.

■
— ■ —
■
— ■ —
— ■ —
— — ■ — —
— — ■ — —
— — ■ — —
— — ■ — —
— — ■ — —
— — ■ — —
— — ■ — —
— — — ■ — — —
— — — ■ — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Dopływ Wisły, 3. Spółgłoska, 4: Ptak śpiewający, 5. Zwierze drapieżne, 6. Przyrząd kuchenny, 7. Osoba duchowna jednego z wyznań, 8. Wyspa na morzu Śródziemnem, 9. Wielki plac w mieście 10. Znany minerał, 11. Jeden z wybitniejszych bolszewików, 12 Malarz polski, 13. Ozdoba kobiety, 14. Pierwsza litera imienia i nazwiska króla polskiego.

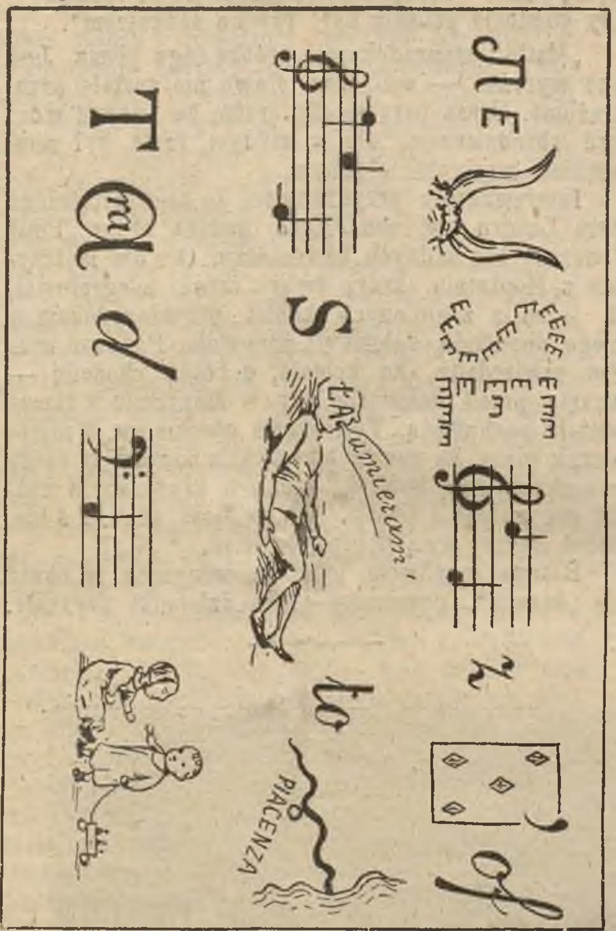
Trójkąt magiczny.
Ułożył Shimmy, Stanisławów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwę okresu, na który cały rok znów trzeba czekać.

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
■ — — — — — —
■ — — — — —
■ — — — —
■ — — —
■ — —
■ —
■

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz, 2. Część świata, 3. Herb polski, 4. Miejscowość w Galicyi środkowej, 5. Postać biblijna, 6. Znany gad, 7. Miara powierzchni, 8. Spółgłoska.

REBUS:



Kwadrat magiczny.
ułożył J. Cercha, Miechów.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Litery wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, utworzą imię męskie, rzadko przez ludzi świeckich używane.

■ — — —
— ■ — —
— — ■ —
— — — ■

Znaczenie wyrazów: 1. Port nad morzem Adryatyckiem, 2. Miara odległości, 3. Znany ptak, 4. Słynny klasztor i góra w Europie wschodniej.

Szarada.
ułożył B. Zaleski, Lublin.

Nie jest ozdobą twarzy *pierwsze-trzecie*
Zwłaszcza u kobiet, szczególniej zaś w lecie,
Druga i *trzecia* zdobi męża czoło,
Jeżeli żona bawi się wesoło
Całość potrawa wszystkim dobrze znana
Torebka z ciasta wewnątrz nadziewana,
Znajdziesz w niej mięso, ser, albo ziemniaki,
Kapustę, wiśnie inne przysmaki.

Przysłowiówka.
Ułożył meteorolog z nad Wisły.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć znane polskie przysłowie.

— — y — — — o — — i — ę — — a — — u — i e — — e, — i — a — — o — i ę — — — e — — e — — e.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) S. Askenazego: „Książę Józef Poniatowski"; 2) Kalendarz biurkowy na rok 1922.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 5.

Grzebieniówka: Kola, a, rota, o, liga, z, yard, t, Adam.

Zadanie do uzupełnienia: Sowa, Zola, Ezaw, Pola, toga York, cyna, kuna, igła.

Logogryf: „Nowości Illustrowane".

Dobre rozwiązania nadesłali p. p.: H. Galińska Lwów, K. Dębicki Sambor, S. Kozik Piotrków, M. Drohocki Warszawa, J. Benedyktowicz Kraków, H. Rakowiecka Warszawa, M. Skórkowa Kraków, L. Moniszewski Warszawa, J. Kalinowski Poznań, S. Węgrzyn Kraków, S. Górska Warszawa, J. Wierzbicki Piotrków, M. Michalczyk Poznań, S. Kowalski Warszawa, W. Rozwadowski Kraków, H. Walewska Jasło, H. Malinowski Warszawa, J. Walczewska Lwów, M. Kubicówna Kraków, S. Zakrzewski Sandomierz, H. Boratyńska Poznań, M. Planecka Kraków, S. Grabowski Wadowice, S Sokołowski Lwów, J. Sadowski Kraków, T. Cisowski Zakopane, M. Więckowski Warszawa, H. Galińska Tarnów, J. Martynowicz Lwów, Z. Sokolnicka Warszawa, B. Szypulska Wieliczka, A. Wróbel Tarnopol, K. Wilczyński Stanisławów, K. Mańkowska Warszawa, Z. Trembecki Kalisz, R. Mąka Kraków, W. Nowotarska Jarosław, J. Cercha Miechów, S. Komorowski Warszawa.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) H. Galińska Lwów (książka); 2) S. Komorowski, Warszawa (kalendarzyk). — **Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody w kwocie 25 mk.**

Właściciele wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego